70 lat Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Banacha w Żaganiu

QQryQ

Wydanie specjalne
czerwiec 2016

W numerze: wywiady z Emerytowanymi Nauczycielami i obecnym Dyrektorem oraz historia gazetki szkolnej.

Józefa Mrożek
Krystyna Zielińska
Stanisław Dziura
Józefa Piechowiak
Maria Jusińska
Maria Mucha
Helena Fechner
Janina Kicyła
Inna Sokołowska
Janina Jagodzińska

Liczy się człowiek!

70 – lecie istnienia szkoły to – jak każdy jubileusz – czas szczególny! Dlatego wraz z zespołem redakcyjnym zdecydowaliśmy, iż ten numer *QQryQ* w całości poświęcony zostanie Naszym Nauczycielom, którzy przez wiele lat byli pracownikami **Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Banacha w Żaganiu** decydując o jakości nauczania kształtującego to najlepsze oblicze szkoły. To też Nasi Rozmówcy – dziś już przebywający na zasłużonej emeryturze – Nauczyciele w sposób naturalny, choć niezamierzony, postawili przed szkolnymi redaktorami ważne pytanie: czy przeszłość jest kwestią faktów, czy bardziej opowiadamy o wyobrażeniach przeszłości znaczonej młodością i energią dawnych Nauczycieli, czasem, w którym przyszło im żyć i pracować?

Niezależnie od tego, czy zredagowany przez nas materiał w opinii naszych Czytelników staje się bardziej rekonstrukcją, czy też konstrukcją, prosimy o wyrozumiałość w ocenie tego przedsięwzięcia, które dla młodych redaktorów stało się **wydarzeniem** uświetniającym jednocześnie **20 – lecie *QQryQ***! Zwłaszcza dla uczennicy Ani Szwal (w tym momencie już byłej „naczelnej"), która osobiście przysłuchiwała się prawie wszystkim opowiadanym przez Nauczycieli historiom. W jej opinii ich wielość, barwność, spontaniczność oraz dygresyjność nie mogłaby zostać zmarnowana! Jakkolwiek poddana swoistemu montażowi, koniecznej selekcji i kompozycji musi mobilizować, zwłaszcza młodych ludzi, do kształtowania pamięci! Dokonując ostatecznej redakcji pisemnej wersji wywiadów (opracowana została również wersja filmowa) uczniowie starali się zachować oryginalny tok wypowiedzi, spontaniczność sformułowań właściwych wypowiedzi mówionej i jak najmniej ingerować w całość zebranego materiału. Nie oddaje to klimatu rzeczywistych rozmów z Ludźmi, którzy znaczną część swojego życia poświęcili szkole, a ja, wraz z koleżanką Iwoną Derendarz oraz uczennicą Anią Szwal, miałam tę wyjątkową możliwość bezpośredniego kontaktu z częścią dawnego Grona Naszych Nauczycieli. Dlatego bardzo dziękujemy za wszystkie spotkania i rozmowy, które, mam nadzieję, również posłużą do celów edukacyjnych – do świadomości uczniowskiej ma dotrzeć przekonanie, że to wartościowi ludzie, jak Nasi Rozmówcy – Nauczyciele, mogą wypracować skuteczne strategie wobec nowej młodzieńczej wrażliwości i inwazji mediów. Liczy się człowiek – słuchanie siebie, opowieści starszych, w moim przekonaniu, to bardziej otwiera na wartości, niż zamykanie się na wzajemne potrzeby.

Opiekunka redakcji gazetki szkolnej QQryQ
– Anna Świeboda

WYWIAD Z p. JÓZEFĄ MROŻEK – nauczycielką wychowania fizycznego

Dlaczego została Pani nauczycielem wychowania fizycznego?

O, to długa historia.

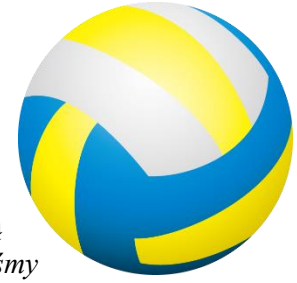

Proszę ją rozwinąć.

Najpierw miałam iść, bo bardzo lubiłam biologię i w ogóle nauki przyrodnicze, do instytutu do Związku Radzieckiego. To były lata pięćdziesiąte. Moi rodzice, jak zobaczyli dużą ankietę i trzeba było ją podpisać, powiedzieli: *"Co? To myśmy stamtąd uciekali, żeby być w Polsce, a ty chcesz iść tam na studia?. Co to u nas nie ma uczelni?"*. Potem rozważałam dyplomację, ale coś mi nie pasowało. Byłam najstarszym dzieckiem i było bardzo ciężko po wojnie. Rodzice mówili: *"A po co ci studia, matura wystarczy dziewczynie i tak będziesz dzieci bawić i garnki myć. Chyba, że pójdziesz na medycynę, to ci pomożemy"*.

I kiedy wszystko się zmieniło?

Złożyłam dokumenty na medycynę i poszłam zrobić badania lekarskie, a ponieważ nie było pacjentów, więc pani doktor ze mną sobie gawędziła. Ja jeszcze mówiłam, że bardzo lubię sport i na wychowanie fizyczne może bym się nawet wybrała, ale rodzice nie chcą nawet słyszeć o żadnym innym kierunku, stąd medycyna. Na to pani doktor mi odpowiedziała: *„Wie pani, gdybym miała teraz wybierać, to nie poszłabym na medycynę, tylko właśnie na wychowanie fizyczne. Wie pani dlaczego? Bo tam miałabym do czynienia z młodzieżą, z młodością, z żywymi, uśmiechniętymi i radosnymi, a ja mam do czynienia z ludźmi: cierpiącymi, chorymi, smutnymi i te zapachy szpitalne zupełnie mi nie odpowiadają"*. I ja tak sobie pomyślałam, że ona ma rację. Przecież ja po tej akademii medycznej będę robić to, co ona w tej chwili. I ostatecznie wybrałam wychowanie fizyczne!

Szybka decyzja i znacząca.

Szybka. Rodzice postawili twarde warunki: *„Chcesz, to idź, ale sobie będziesz radzić sama"*. To ja w wakacje poszłam do pracy, dwa miesiące popracowałam, parę złotych zarobiłam, niewiele, i poszłam na studia do Warszawy. Zdałam, zostałam przyjęta no i, z tym co miałam zarobione, pojechałam. Na pociąg miałam zniżkę, bo ojciec był kolejarzem i, pamiętam, pod koniec października, już nie miałam ani grosza. Dostałam wprawdzie stypendium, ale to stypendium „szło" na zakwaterowanie w akademiku. Byłam dumna, powiedziałam: *"Trudno, o nic nie będę prosić"*. Pamiętam, że za darmo jeździłam tramwajami, żeby zwiedzić Warszawę. Widziałam place gruzów, to był rok pięćdziesiąty czwarty, drugi, przepraszam, drugi. Poszłam na uczelnię, wybrałam dokumenty, spakowałam się i od koleżanki pożyczyłam pieniądze na podróż powrotną. Mówię: *"Pójdę do pracy, zarobię sobie, a za rok, dwa lata wrócę na uczelnię i tak skończę studia"*. Zawzięłam się.

I dopięła Pani swego?

Ale wybrałam dokumenty. W sekretariacie stała za mną starsza pani, której nie znałam i, wyobraźcie sobie, to była sekretarz partii. Tak, jakaś pani docent, która ze mną nie miała zajęć na pierwszym roku, więc ja jej nie znałam i ona mówi*: "Słuchaj no dziecko, dlaczego ty wybrałaś dokumenty?"* Ja jej powiedziałam, że nie mam pieniędzy, muszę zarobić, a sytuacja w domu jest ciężka, nie będę prosić rodziców. I ona mi zasugerowała, że mogłabym poprosić o urlop dziekański. Napisałam szybko podanie i dostałam urlop, no i już byłam zadowolona, że ja za rok bez egzaminów wracam na uczelnię. Wracam do akademika, a pan recepcjonista mówi: *"Tu do pani jest przekaz"*. Ojciec się zlitował i wysłał mi parę złotych. Oddałam koleżance ten dług, który pożyczyłam na bilet na podróż powrotną. Ale nie chciałam niczego odwracać. Po roku poszłam do pracy jako niekwalifikowany nauczyciel wychowania fizycznego.

Po roku?

Nie byłam po pierwszym roku, ledwo zaczęłam studia. W ten czas we wrześniu zaczynał się rok akademicki, czyli ja dwa miesiące studiowałam. Nie było wykwalifikowanych nauczycieli i uczył ten, kogo tylko dorwali. Zaczęłam uczyć w szkole podstawowej.

Jak to się stało, że trafiła Pani do Żagania?

No i właśnie po tym drugim roku, to ja się już tak zawzięłam, zmieniłam pracę, poszłam do Zielonej Góry. To był rok pięćdziesiąty czwarty. Pamiętam był luty, jak przyjechałam do Zielonej Góry i wówczas dostałam informator na wyższe uczelnie. Zobaczyłam, że we Wrocławiu była wyższa szkoła wychowania fizycznego przy Akademii Medycznej. Po drugim roku tej wyższej szkoły mogłam pójść na akademię medyczną na trzeci rok, zdając tylko dwa egzaminy, bo na pierwszym roku wszystkie kierunki „szły" tym samym programem. Miałam: anatomię, biologię, fizjologię, biochemię. Czyli medyczne przedmioty. Potem się okazało, że nam to było bardzo potrzebne. Fizyka, na przykład, bo doszła mechanika ruchu. Jak tu przyszliśmy do Żagania była jeszcze jedenastolatka. Męża poznałam pod koniec studiów. Przyszliśmy razem do pracy i uczyłam też biologii, jak brakowało biologa. Pamiętam było tak w liceum wieczorowym. Powojenni oficerowie nie mogli awansować powyżej kapitana, bo nie mieli matury. Wojskowi zbuntowali się, nie chcieli, żeby ich uczył pan Ślusarek tego samego materiału, który był w liceum dziennym. Nie dawali sobie rady, więc poprosił mnie dyrektor i mówi: *"Im trzeba dać podstawy, czyli z programu wszystkie niepotrzebne szczegóły trzeba wyrzucić, potrafisz to zrobić?"*. Zrobiłam to, ale zawsze byłam o jedną lekcję mądrzejsza od nich, bo się musiałam przygotować.

Jak wspomina Pani w ogóle lata spędzone w Banachu, ile lat Pani tam pracowała?

Piętnaście lat pracowałam w liceum na pełnym etacie i często jeszcze w wieczorówce. Od pięćdziesiątego ósmego roku do siedemdziesiątego czwartego. Potem miałam okrojony etat, bo poszłam do wydziału oświaty. W związku z tym miałam mniejszy wymiar godzin, ale cały czas byłam na etacie w liceum. W siedemdziesiątym piątym roku likwidowano powiaty i mnie zabrano do kuratorium jako wizytatora wojewódzkiego wychowania fizycznego. W tym czasie miałam tylko cztery godziny dydaktyczne w szkole. Jeździłam "po" wszystkich szkółkach podstawowych, średnich. W tym czasie się pracowało z nauczycielami i ta praca dawała efekty, bo robiliśmy badania wyników nauczania, sprawdzaliśmy metody pracy nauczycieli, był ten nadzór pedagogiczny. To mobilizowało nauczycieli. Robiłam konferencje metodyczne, przykładowe lekcje, dawałam konspekty, jak ktoś miał trudności. Wtedy było jeszcze wielu nauczycieli niewykwalifikowanych. Często, jak widziałam, że jakaś osoba się nadaje do zawodu, to przekonywałam ją, by poszła na studia zaoczne. Niektórzy nauczyciele przecież nie nadawali się do zawodu, wówczas dawałam ocenę niedostateczną. Miałam dwa takie przypadki w całej swojej karierze wizytatora, że ktoś musiał odejść z zawodu.

Mało tego, ja po prostu – w czasie takiej jednej wizytacji - wstałam, a zwykle w spodniach chodziłam - bo to był taki nawyk zawodowy i nauczyłam dzieci przewrotu w przód. To była piąta klasa chłopców, oni na głowę padali i robili przewrót w przód. Taki upadek na głowę z rozbiegu mógł się skończyć okropnie. Dlatego nauczycielowi musiałam dać ocenę niedostateczną. Przyjechałam go sprawdzić po roku, dawałam szanse.

Co Pani najbardziej lubiła w pracy z młodzieżą, a czego nie tolerowała?

Nie lubiłam tego, czego wszyscy nie lubią: kombinowania, oszukiwania. U mnie nie było, że któraś tam nie mogła ćwiczyć*: "Chora jesteś? Proszę bardzo zwolnienie lekarskie"*. Ogólnie jednak młodzież chciała ćwiczyć w owym czasie, bardzo chętnie ćwiczyła. Mnie zależało, żeby lekcje czegoś uczyły, żeby wychowywały, a poza tym, żeby im dawały radość.

Jakim, według siebie, była Pani nauczycielem?

Według mnie byłam dobrym nauczycielem, bo nie chcę powiedzieć, że bardzo dobrym. Zresztą w owych czasach nie należałam do partii i skoro mnie wzięto do nadzoru pedagogicznego, to znaczy, że musiałam się wyróżniać pozytywnie. Pamiętam epizod w kuratorium: każdy wizytator miał skontrolować pracę podstawowej organizacji partyjnej na terenie szkoły. Ja mówię, w pewnym momencie do kolegi, który siedział koło mnie: *„Słuchaj, ja nie jestem członkiem partii, czy ja mogę podstawową organizację partyjną kontrolować?"*. On poradził mi, bym o to zapytała. Sekretarz w odpowiedzi popatrzył na mnie i powiedział: *„A jakim cudem pani się znalazła w nadzorze pedagogicznym ?"*. Nie traciłam tupetu i powiedziałam: *„Widocznie byłam dobra i potrzebna"*. Okazało się, że była nas trójka takich bezpartyjnych na cały zespół pięćdziesięciu dwóch wizytatorów.

A uprawiała Pani kiedyś gimnastykę?

Tak uprawiałam gimnastykę. Ja przy moim niewysokim wzroście, byłam jeszcze na uczelni w reprezentacji pływania, siatkówki, koszykówki. Sprawna byłam i dlatego nie miałam problemu z żadną dyscypliną i potem z prowadzeniem lekcji też nie.

A dzisiaj w ogóle uprawia Pani jakiś sport?

Dzisiaj już tylko chodzę na Tai-Chi Qigong.

Na czym to polega?

To jest tak zwana chińska joga, praca z energią, praca bardzo spokojna. Ale wszystkie stawy, wszystkie mięśnie są rozruszane, przećwiczone, a to jest bardzo ważne, to jest podstawa w wychowaniu fizycznym.

Czy pamięta Pani jakąś śmieszną sytuacje z czasów pracy w Banachu?

Było ich bardzo dużo. Był to okres, kiedy przyszło bardzo dużo młodych nauczycieli. Wszyscy byli dobrymi fachowcami w swoich przedmiotach. Pamiętam, że Pana Jurgę - chemika, który potem był dyrektorem, Pana Puchara - fizyka, no i kilku innych uczyłam tańczyć! Oni nie tańczyli, bo nie umieli. A ja poprowadziłam nawet tańce. Pamiętam, jaki bój stoczyłam z panem Ślusarkiem, który był wówczas wicedyrektorem. Ale pan dyrektor Banach, na szczęście światła głowa, zgodził się, jego przekonałam szybko. Uznałam, że, młodzież ma się nie tylko uczyć i pracować, musi mieć też zabawę. Uczyłam poloneza na studniówki.

Uczyła Pani nie tylko uczniów?

Nie, nie tylko. Właśnie dla dorosłych zabawy organizowali. Pieniądze za bilety wstępu były przeznaczone też na budowę sali gimnastycznej. Budowało się w czynie społecznym. Dyrektor Banach był fantastyczny, jeżeli chodzi o zdobywanie pieniędzy. Potem go zabrali do Zielonej Góry, był tam dyrektorem liceum. To był cudowny człowiek. Jak przyszedł do szkoły ktoś z rodziców, ktoś z rodziny na przykład, to on oprowadził wszystkich po szkole, zainteresował. To był bardzo przyzwoity człowiek.

Pani mąż też pracował w Banachu?

Tak, tak, cały czas. Mąż pracował od początku do końca, a ja miałam właśnie tę przerwę - dodatkową pracę w kuratorium. Chodził z uczniami na strzelnicę i, oczywiście, zgodnie z przepisami, młodzież z takich zajęć wracała z karabinami. Mąż zabierał i dźwigał na plecach zamki, naboje. Pamiętam w jednej trzeciej klasie było trzech bardzo dobrych uczniów. Wrócili do szkoły parę minut przed dzwonkiem, szli do gabinetu PO, bo tam był magazyn. Pod klucz zamykało się broń i oni z tymi karabinami szli i weszli do pani Rochowskiej. Ona miała matematykę, była świetną matematyczką. Potrafiła w kozie zostawić i na przerwie przychodziła i sprawdzała, czy się ktoś nauczył. Mówiła: *„Nie naumiałeś się, to jeszcze godzinę posiedzisz !”*. Od niej, jak ktoś dostał trójkę, szedł na Politechnikę i sobie radził. I ci chłopcy weszli do niej do klasy z tymi karabinami i krzyknęli *„Ręce do góry!”*. To chyba był koniec lat sześćdziesiątych. Była rada pedagogiczna, szybko zwołana, bo groziło tym uczniom wyrzucenie ze szkoły. No i pamiętam, wracałam z Rochowską i mówię: *"Krystyna, najlepszych uczniów wyrzucić ze szkoły? Za to tylko, że zrobili psikusa?!”*. Chuligaństwo w tym czasie karało się mocno. Na drugi dzień większość nauczycieli była za tym, żeby ich ukarać, dać naganę z wpisaniem do akt, obniżyć ocenę ze sprawowania, ale nie wyrzucać ze szkoły, no i tak się stało.

Czego jeszcze nie tolerowano w zachowaniu uczniów?

No w ten czas były obowiązkowe tarcze uczniowskie, mundurki. Makijażu oczywiście nie wolno było robić i malować paznokci.

Włosy naturalne, a dziewczyny bywały ekstrawagancko uczesane?

Po maturze dziewczyny już były dorosłe. Ale na studniówki na ogół przychodziły w granatowych czy czarnych sukieneczkach, białej bluzce.

Dziękujemy za rozmowę!

Z Panią Józefą Mrożek rozmawiały: Anna Szwal, Anna Świeboda

WYWIAD Z p.KRYSTYNĄ ZIELIŃSKĄ (NAUCZYCIELKĄ MATEMATYKI)

„Dbajmy o naszą młodzież, bo to nasza przyszłość!"

Jak wspomina Pani lata spędzone w Liceum im. S. Banacha?

Bardzo dobrze! Chociaż były różne sytuacje, czasem się kłóciliśmy, czasem było ciężko. Pierwszego dnia mojej pracy byłam tak zestresowana, że zrobiłam kartkówkę i kazałam opisać okrąg na rombie. Ale do końca nikt się nie odezwał! Dopiero po klasówce ktoś się mnie zapytał: *„Jak opisać ten okrąg na rombie?"* Pomyślałam sobie *„Matko jedyna, co ja tym biednym dzieciom kazałam zrobić?"*. Młodzież narzekała, bo tej nauki było dużo, ale ja im zawsze mówiłam: *„Wy narzekacie, a wy wiecie, ile ja muszę zadań przeliczyć? Wszystkie zbiory, wszystkie zadania żeby mnie młodzież nie oszukała"*. Pierwsze lata to rzeczywiście ogrom pracy, ale później było coraz lepiej, już nie kazałam im opisywać okręgu na rombie.

A czy młodzież była inna niż dziś?

To była też wyselekcjonowana młodzież. Do szkoły było 240 podań, a każda z czterech klas liczyła 30 osób. Później było lżej ,bo otwierano więcej klas i jak zamknięto technikum i zostało samo liceum, to były lata, kiedy było 5 klas równoległych. Wtedy od pierwszej klasy były profile. Dużo było podań do klas matematyczno - fizycznych i wszyscy po tym profilu dostawali się na studia. Czasem się zdarzyło, ze ktoś poszedł na studia zaoczne, ale na politechniki dostawali się naprawdę wszyscy. Zresztą mieliśmy dużo godzin: 7 godzin matematyki tygodniowo. Przez cztery lata dużo można było się nauczyć. Potem uczniowie poszli na studia, nawet za granicę, a było nawet tak, że można było typować dwie osoby ze szkoły na studia zagraniczne. Przez pierwsze dwa lata po ukończeniu liceum, jak absolwenci przyjeżdżali nas odwiedzić. Koledzy mówili, że oni nie mają tam co robić, bo w liceum mieli cały materiał. Pytali się naszych byłych uczniów: *„A skąd wy znacie całki, a skąd wy znacie ciała liczbowe? To u was w liceum było?"* – brzmiało pytanie. Również klasy biologiczno - chemiczne były oblegane, po których wszyscy bez problemu dostawali się na studia. Teraz nasi uczniowie leczą nas. Jednak nikt nie chciał iść do wojska. Pamiętam, kiedy przyjeżdżali panowie oficerowie ze szkół wojskowych i zachwalali je, tak pięknie mówili o szkołach wojskowych, chłopcy się śmiali. Za to dużo osób chciało iść do szkoły morskiej, bo to była jedna z niewielu okazji, aby zobaczyć zachodni świat.

Jakie są Pani najlepsze wspomnienia związane ze szkołą?

Mam prawie tylko i wyłącznie takie! Kiedyś Banach Krystynami i Bożenami „stał" i przez miesiąc było ciasto imieninowe w pokoju nauczycielskim . Kiedyś w szkole można było palić i nie zwracało się na to większej uwagi. Mama jednego z uczniów weszła do pokoju, krzyczała: *„Jak wy tu możecie wytrzymać! Tu jest jak w starym wagonie kolejowym!"*. To było coś okropnego. Większość osób paliła, to było normalne, a gdy ci niepalący protestowali, to była dyskryminacja! Teraz nie wolno już w ogóle palić. I dobrze.

Czy wspomina Pani jakiegoś emerytowanego nauczyciela ze szczególnym sentymentem?

Tak, było dwóch takich nauczycieli. Pan Ślusarek, prawdziwy przedwojenny pan profesor, który uczniów trzymał krótko, ale osiągał wyniki oraz Pani Krystyna Rochowska, matematyczka. Była taką prawdziwą nauczycielką z powołania. Też potrafiła być ostra. Mi też niekiedy zdarzało się przesadzić. Raz kazałam uczniom na drugi dzień rozwiązać 100 zadań. Ale znaleźli sposób, jedna grupa zrobiła 50 zadań, druga kolejne 50 i wymienili się wynikami. Ale kiedyś nie było „zabijaczy czasu", więc młodzi więcej się uczyli .

Czy najlepsi uczniowie najlepiej ściągają?

Kiedyś nie ściągali za bardzo. Po wielu latach uczniowie przyznali mi się, że mieli specjalne długopisy, na których zapisywali wzory.

Czy matematyka od zawsze była Pani pasją?

Tak od zawsze byłam dobrym matematykiem. Od szkoły podstawowej nie miałam problemów z przedmiotami ścisłymi, nawet jak była tabliczka mnożenia. Kiedyś zostawało się w kozie, ale ja na tym też cierpiałam, bo Pani zostawiła kilku nieuków w kozie, a ja musiałam uczyć ich tabliczki mnożenia! Lecz byłam dumna, że mogę ich nauczyć. Nie lubiłam się uczyć na pamięć. Historia, polski, to nie było dla mnie. A z matematyki jedynie trzeba było się nauczyć wzorów. Chodziłam do liceum pedagogicznego i tam na przedmiotach ścisłych było mnóstwo ćwiczeń i można było wszystkiego się nauczyć. Przy wyborze studiów długo zastanawiałam się - wybrałam matematykę. Na naszym przedmiocie nie ma Czasu się nudzić. Kiedy następuje nuda, liczymy nowe zadania. Dawniej mało kobiet studiowało matematykę, ale kiedy ja szłam na studia, kobiet było już więcej. I kiedy zdawałam egzamin na II stopień specjalizacji, kobiet było 7, a panów 3. I wtedy jeden z panów powiedział do nas: *„Ja sobie nigdy nie wyobrażałem, żeby kobieta mogła uczyć matematyki!”* A teraz większość matematyków to kobiety.

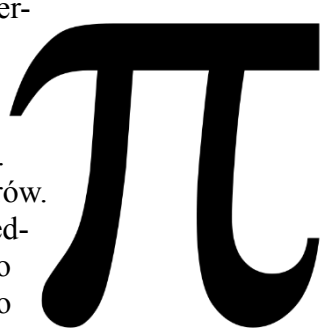

Który dział matematyki lubi Pani najbardziej?

Analizę matematyczną - tam są fajne schematy i łatwo się można odnaleźć. Granice, całki, badanie zmienności funkcji. Jedno zadanie z tego działu, to cała matura. I a propos tego działu: przypomniała mi się pewna historia. Na jednej lekcji uczeń zapytał się mnie: *„ Po co mi te całki, nie potrafię ich zrozumieć, to mi się nie przyda!”*. Powiedziałam więc do niego*: „Słuchaj, jesteś taki przystojny, pójdziesz na randkę z dziewczyną i nie ma tematu do rozmowy, więc ty powiesz do niej - wiesz co? Opowiem ci o całkach. I wtedy ona spojrzy na ciebie z podziwem!”.*

Jak wspomina Pani ówczesną młodzież, którą porównałaby Pani z dzisiejszą młodzieżą?

Trudno powiedzieć. To jest inna kategoria. Oni - dawniej – wiedzieli, po co przyszli do szkoły. Dawna młodzież była bardziej zdyscyplinowana, z szacunkiem odnosiła się do nauczyciela. Była też wyraźna różnica między dziećmi z miasta, a dziećmi ze wsi, np. dzieci ze wsi wiedziały, ze muszą się uczyć i polepszyć sobie byt, a dzieci z miasta miały wszystko i to obijało się na wynikach.

A czy uczniowie zwracali się do Pani tytułem profesora? Skąd to się wzięło?

Jak żył dyrektor Mąkowski, to dostawało się dyplom: *„Profesor Szkoły Średniej”*. Pamiętam, jak była wymiana z Niemcami, to opiekunka niemieckiej grupki młodzieży, też była matematyczką, przyszła na lekcję. I w pewnym momencie podeszła do mnie i zapytała: *„Oni tak wszyscy do ciebie mówią profesor, a Ty jesteś taka młoda”*. Odpowiedziałam jej*: “Nie, ja nie mam tytułu profesora, a tytuł magistra. Profesor to jest zwrot grzecznościowy”*. Kiedyś to było nie do pomyślenia, aby nie zwrócić się do nauczyciela profesorze, można było mieć nawet obniżone sprawowanie. Nawet jak uczeń źle stanął, to dostawał reprymendę.

Co Pani czuje, gdy przekracza próg naszej szkoły?

Znam ludzi, którzy omijają ją szerokim łukiem, natomiast ja czuję ogromną radość i sentyment. Mam dużo miłych wspomnień, tym bardziej kiedy spotykam się z sympatią uczniów, zwłaszcza teraz, po wielu latach, gdy są już dziadkami, rodzicami. Na spotkaniach absolwentów zawsze jest miła atmosfera. Przepracowałam 30 lat w liceum i pamiętam sprawdzanie klasówek, wszyscy mieli wolne, a my matematyczki liczyłyśmy te stosy zadań. Człowiek nie miał w ogóle czasu – sobota i niedziela wyjęte z życiorysu. Ale były różne zabawy karnawałowe, andrzejkowe, trzeba było pilnować dzieci. Szkoła była ośrodkiem kulturalnym młodzieży. Raz w miesiącu był wieczorek taneczny. Przedtem młodzieży nie było wolno iść do kawiarni. Były dyżury sprawdzające, czy młodzież nie prowadzi zbyt bogatego życia towarzyskiego.

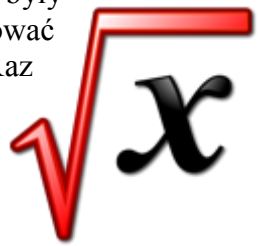

Jakie było Pani największe osiągnięcie zawodowe?

Na pewno to, że 100% uczniów zdawało maturę i dostawali się na studia. Pamiętam, był jeden uczeń, który doszedł najwyżej w konkursie matematycznym – Rafał Czyż. Jest teraz doktorem matematyki i wykłada na UJ. Przysłał mi nawet swoją pracę doktorską. Ale moją największą ambicją było, aby wszyscy polubili matematykę! Teraz już wiem, że nie każdy lubi matematykę i nie każdy ją rozumie. Ale pamiętam taką sytuację: kiedyś spotkałam mojego dawnego ucznia i powiedział do mnie takie zdanie: *„Pani mnie uczyła matematyki, ale Pani mnie nauczyła tej matematyki”*. Miód na me serce!

Czy na koniec mogłaby Pani podzielić się przesłaniem dla wszystkich nauczycieli?

Dbajmy o naszą młodzież, bo to nasza przyszłość!

Dziękujemy za wywiad!

Z p.Krystyną Zielińską rozmawiali: Cyprian Sokołowski, Iwona Derendarz, Anna Świeboda

WYWIAD Z p.STANISŁAWEM DZIURĄ – NAUCZYCIELEM HISTORII

„(…) jeżeli nauczyciel historii nie wprowadzi uczniów w epokę, to polonista nic nie zrobi, bo to, o czym mówi, jest zawieszone w próżni. Nie ma kontekstu."

Proszę opowiedzieć o początkach swojej pracy w liceum, poznanych wtedy uczniach, pierwszych zapamiętanych sytuacjach.

…Pierwszą rzeczą, jaka może się człowiekowi zdarzyć, jeżeli występuje publicznie, jest dydaktyzm. To jest pouczanie innych. Jeżeli bym pracował, mógłbym powiedzieć: *Dziewczyny, zobaczcie, co robię*! *Jeżeli wam to odpowiada i chcecie z tego coś zaczerpnąć - proszę bardzo*. *Ja chętnie pomogę!* No ale teraz? Ja już jestem daleko (…). Z tęsknotą wspominam wspaniałych młodych ludzi, uczniów, z którymi miałem do czynienia. Gdybym chciał nawet bardzo mocno się postarać, znaleźć kogoś, któregoś z nich, który mi dokuczył - nie znajdę. Nigdy nie znalazłem takiego ucznia, który by mi dokuczył, który zachowałby się względem mnie nieelegancko, obraźliwie. Nic takiego mi się nie zdarzyło, ja nie przypominam sobie, żeby coś takiego miało miejsce.

Fakt, bałem się, jak przyjechałem do pracy. Wtedy był już dyrektor Mąkowski. Wyobraźcie sobie - jest apel pierwszego września i jest przydział wychowawstw. I zostałem ja i klasa IV a, której nikt nie chciał, której wszyscy się bali. W pierwszej klasie mieli innego wychowawcę, w drugiej innego,

w trzeciej innego… Bo nikt nie chciał mieć z nimi do czynienia. No to już wiedziałem, co mnie czeka. A nosiłem wtedy takie długie włosy, bo taka była wtedy moda, i te długie włosy mi się podniosły do góry. Mówię: *No, to mi się dostało za swoje*. Idę. Pytam: *gdzie ta IV a, prowadźcie, bo ja jeszcze nie jestem rozeznany w tych gabinetach, poszukajcie wolnej klasy*. Zacząłem spotkanie z młodzieżą od pytania: *Czego oczekujecie, czego byście chcieli?* Odpowiedź brzmiała: *Eee panie profesorze, nie będziemy mówić, szkoda gadania (...) chcielibyśmy pojechać na wycieczkę. No bo od pierwszej klasy prosimy o tę wycieczkę i nikt nie chce z nami jechać.* Ja na to: *Proponuję taką rzecz – wycieczkę do Trójmiasta na pięć dni.* Cicho się zrobiło w klasie.
(…) *Ale pieniądze na wycieczkę musimy zarobić*. Było takie przedsiębiorstwo budowlane przemysłu lekkiego. Miałem znajomego wicedyrektora. Zadzwoniłem do niego: *Słuchaj, mam dwadzieścia cztery osoby. Młodych, zdrowych, silnych ludzi. Trochę dziewczyn, trochę chłopaków*. Więcej chłopaków było w tej klasie. A ten odpowiedział: *Z nieba mi spadłeś! Jak długo popracujecie?* Ja mówię*: Tydzień, góra dwa tygodnie możemy popracować i to po południu*. *Od piętnastej zaczynamy, bo wcześniej mamy lekcje*. I on zaproponował: *To ja podstawię wam autokar pod szkołę, o piętnastej jedziemy.* Rozbudowywali bawełnę w Żarach. Roboty tam było, pojechaliśmy, zarobiliśmy pieniądze. Dwa tygodnie żeśmy popracowali, każdy zarobił po czterysta złotych. Po tym wszystkim znowu mówię do klasy: *No to macie pieniądze na wycieczkę?* Odpowiedzieli: *Mamy, ale kto nas na wycieczkę na pięć dni puści? - Dyrektor was puści*. Poszedłem do Mąkowskiego i oświadczam: *Jedziemy na wycieczkę z IV a do Trójmiasta. -„No dobrze, no to kiedy? - W poniedziałek.* Dyrektor powiedział, że musi sprawę przemyśleć. Dodałem tylko, żeby niedługo to trwało, bo to w przyszłym tygodniu już jedziemy i mamy wszystko załatwione: *Zarobiliśmy pieniądze, mamy zamówione noclegi na prywatnych kwaterach, wszystko już wiemy, autokar mamy*. *- No to co ja teraz mam zrobić?* – dodał dyrektor. Ja mówię*: Nic, wyrazić zgodę i tyle.* No i pojechaliśmy. Tu te zdjęcia z Westerplatte.
A co ważne, nikt nie krzyczał, że nie zrealizuje się podstawy programowej. Nie to co teraz!
Zwiedziliśmy wszystko, co się dało zwiedzić. Wróciliśmy w sobotę. Oczywiście z rana mieliśmy wolne, no bo jak w nocy wróciliśmy, więc na lekcje nie poszliśmy.

Jeszcze były soboty pracujące?

Tak. Z klasą po wycieczce spotykaliśmy się już w poniedziałek. *No i jak?* – pytam. Cisza. Wstaje dziewczyna i mówi: *Panie profesorze! Mama mi dała trzysta złotych na wycieczkę, żeby mi nie zabrakło, bo akurat stać rodziców, a ja przywiozłam czterysta pięćdziesiąt z powrotem.*
I mama nie może do tej pory zrozumieć, jak to się stało. Jak będzie wywiadówka, to niech pan mamie wytłumaczy, że ja nie ukradłam tych pieniędzy, tylko to te pieniądze, które myśmy zarobili. Ja mówię: *A co? Nie wydałaś? - No panie profesorze, pan wie, że szło się do baru na Długim Targu, jajecznica z czterech jajek na śniadanie, do tego dwie bułki z masłem plus kakao- kosztowały tylko trzy pięćdziesiąt*. *Myśmy dziennie wydawali dziesięć złotych. No i reszta zostawała*. No to ja pytam: *Czy jedziemy jeszcze raz?* I miałem klasę kupioną. To była już moja klasa. Poszliby za mną gdziekolwiek. Nie byłoby dwóch zdań. I jeszcze na maturze, świętej pamięci Wiesiu Puchar, był wizytatorem z ramienia kuratorium, wizytował u nas przebieg matury pisemnej. To była matura z matematyki. I taki był zwyczaj, że wychowawcy przechodzili się rzędami przy swoich klasach. Była wtedy Renia Bogacz, Helena Fechner, Krysia Zielińska. One - matematyczki chodzą, to ja też wstałem. Przeszedłem się, ale co ja historyk mogłem tam podpowiedzieć. Liceum kończyłem w sześćdziesiątym drugim roku, starym programem. A z matematyki to pamiętam, że dwa razy dwa równa się pięć, a mam jedenaście palców u rąk i to wszystko. Nic więcej nie pamiętam. No i oczywiście już koniec, uczniowie oddali prace. W komisji Mąkowski mówi: *No to dziękuję za dzisiaj*. A tu słyszymy: *Panie dyrektorze, prosimy zatrzymać komisję, bo ja zgłaszam panu, że mam zamiar unieważnić maturę. Profesor Dziura chodził przy swojej klasie i podpowiadał swoim uczniom.* Mąkowski był wybitnie inteligentny facet. Wybuchnął śmiechem i mówi tak: *Wiesz co, Wiesiu? To ja ci poradzę taką rzecz. Nie czekaj, siadaj w auto. Jeszcze do piętnastej zdążysz do kuratorium i od razu zamelduj, bo wiesz, jak będzie przedawnienie, to mogą już nie uznać twojego protestu i będzie po wszystkim*. A do mnie mówi: *Staszek, choć do kancelarii, pogadamy.* A Wiesiu wychodząc powiedział: *Tu mi kaktus na ręce wyrośnie, jak ktoś z tej klasy się dostanie na studia!* No i miałem potem satysfakcję. Pierwszego sierpnia spotkałem profesora Puchara. Już miałem wszystkie wyniki swoich uczniów z informacją, gdzie, kto się dostał na studia… I mówię*: No jak tam panie profesorze, jak kaktus? Podlewa pan? Groził pan po maturze, że kaktus panu wyrośnie, jak się któryś z uczniów z mojej klasy na studia dostanie. To chciałem pana poinformować, że na dwadzieścia cztery osoby, dwadzieścia trzy dostały się od razu za pierwszym razem. Jedna dziewczyna nie startowała, wyszła za mąż i tyle.* Popatrzył na mnie i na pięcie się odwrócił. Od tej pory byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Do końca jego ostatnich dni. Nerwus

był z niego niesamowity. Dziewczyny się go tak bały, że hej!

Bo to był fizyk?

Tak, fizyk. I Anka (córka) się bała. W czwartej klasie wziął ich Puchar. Anka mówiła, że się chyba wypisze z liceum. I skończyła z oceną dobrą z fizyki!

W którym roku rozpoczął Pan pracę w Banachu?

Przyszedłem w siedemdziesiątym trzecim. No i przyjechali do mnie do Wymiarek, że koniecznie mam do liceum i już. No nie powiem, propozycja mnie miło zaskoczyła. Obiecali mi, bo pan Jurga był wtedy naczelnikiem miasta, inspektorem oświaty, mieszkanie, że dostanę po roku czasu. I zgodziłem się. Przez rok dojeżdżałem. O piątej rano musiałem wstawać. Wracałem po południu, o siedemnastej, a nieraz lekcje kończyłem o czternastej. Dlatego też Radek Mrożek kiedyś mówi*: Nudzisz się? Nie masz co robić?* (A moi chłopcy byli kiedyś wicemistrzami Polski w piłkę ręczną*). Słyszałem jak mówią, że prowadziłeś w Wymiarkach drużynę*. *Poprowadził byś?* Czemu nie? Zgodziłem się. Z klasy C do pierwszej ligi poprowadziłem naszych chłopaków. No i na tym się skończyło, po prostu się rozeszli, zdali maturę… Potem dziewczyny przyszły: *Panie profesorze, my byśmy chciały grać w piłkę ręczną*. Justyna, Arleta, bo one grały w siódemce i chciały to kontynuować. No i się udało. Brązowy medal zdobyliśmy na Zielonogórskiej Spartakiadzie Młodzieży. Niewiele brakowało, a byśmy ze Świebodzinem wygrali! Ale Świebodzin grał wtedy w pierwszej lidze młodzieżowej, ogólnopolskiej. Moje dziewczyny dawały sobie radę. Gdyby Justyna nie zapatrzyła się na jednego chłopaka i nie rozbiła sobie czoła o słup, to by wygrały. Ale spodobał jej się taki przystojny chłopak, że nie ma co się dziwić…!

Chcemy zapytać o epizod uwieczniony na fotografiach - ten z samochodem.

Jak oni wstawiali ten samochód tam do parku między drzewa, nie miałem zielonego pojęcia! A powinienem był wiedzieć, bo gabinet historyczny był od strony parku. Lato – okna otwarte, więc na pewno było tam śmiechów co niemiara, jak wstawiali ten samochód, ale nie słyszałem. Ostatnia lekcja. Wychodzę - mojego auta nie widzę na ulicy, ale pomyślałem: *A tam! Z moją pamięcią coś nie tak, pewno z tamtej strony postawiłem.* No to idę tam, z tamtej strony też nie ma mojego" malucha". A oni za mną: *hi hi hi hi…* Pytam się: *Czego tak ryczycie? Poszukajcie mojego auta!* A oni na to: *Profesorze, nie ma co szukać, auto stoi. Profesor zobaczy*. No, ja patrzę i rzeczywiście, maluch stoi między dwoma drzewami. No to mówię: *To trudno. Jak potrafiliście wstawić, to musicie je potrafić wystawić!* Jakoś wyciągnęli go na drogę!

A pamięta Pan tych chłopców wstawiających samochód między drzewa? Byli w Pana klasie? Uczył ich Pan?

Ja ich wszystkich uczyłem, tylko oni nie byli w mojej klasie. Teraz nie jestem w stanie ich rozpoznać na zdjęciach… Starość nie radość! To była taka klasa matematyczno - fizyczna. Tam był… Darek Kraczek w tej klasie… Ci chłopcy byli fantastyczni… Ja ich mam gdzieś jeszcze w albumie…

To teraz harcerstwo. Widzimy na zdjęciu dorosłego druha…?

To był… koniec lat siedemdziesiątych. Miałem drużynę dziewcząt. I do dziś mam nawet mundur. Tu, na rękawie, jest napis DRAGON, czyli smok po polsku. No i wyhaftowały dziewczyny takiego smoka. Każda z nich i ja mieliśmy na lewym ramieniu taki emblemat.

Jak liczna była ta drużyna? Ile dziewcząt wchodziło w jej skład?

Razem dwanaście…Chłopcy się nie garnęli do harcerstwa i woleli piłkę nożną albo siatkówkę, a dziewczyny chętnie się organizowały.

Harcerstwo działało w ramach zajęć pozalekcyjnych, które były w szkole obowiązkowe?

Tak, były w ramach tak zwanych organizacji społecznych, bo oprócz harcerstwa był jeszcze ZMS. No ale jakoś mnie nie ciągnęło do tego ZMS-s, czyli Związku

Młodzieży Socjalistycznej. Wolałem Związek Harcerstwa Polskiego

Większa nobilitacja jednak…

Tak. Przygodę z harcerstwem zacząłem dużo wcześniej, bo jeszcze jak pracowałem w szkole numer siedem. Jeździliśmy na obozy harcerskie do Pobierowa. Tam pole namiotowe komenda hufca miała wydzierżawione i tam rozbijaliśmy obóz.

A pamięta Pan może nazwiska tych dziewcząt?

Parę nazwisk to tam pamiętam: Arleta Sikora, Ania Duchno, Greta Topolewska. Mam te nazwiska na końcu języka, ale to się już nie pamięta. I takie to moje harcerstwo było… Potem jak to zmieniono na HSPS, czyli Harcerską Służbę Polsce Socjalistycznej, przestała działać organizacja harcerska i nie działało HSPS…

Tutaj jest ciekawy epizod na zdjęciu… Jakich dotyczy okoliczności. Przypadek?

Kiedyś miałem rodzinę w górach i mój kuzyn mówi: Wiesz co? (Obudził mnie w Boże Narodzenie rano): *Idziemy w górki!* No bo to nie góry, a górki. Kazał mi iść w tym śniegu niedużym, kopać nogami wszystkie kamienie. Były tam kopalnie barytu, a na barycie krystalizuje się kryształ górski. Zielony, trudno go teraz spotkać. Piękny zabytek jest w bibliotece poaugustiańskiej - wieniec z zielonego kryształu górskiego. A ja przywiozłem takie bryły tego kryształu. Pan Śmieszek uczył geografii, a ja odchodziłem na emeryturę i mówię: *Wiesz co? W domu mi akurat to nie jest potrzebne, a widzę, że tam masz trochę minerałów w szafie, to ci przyniosłem*. No i to stąd takie zdjęcie. Stąd takie spotkanie, chyba ostatnie zawodowe.

A tu na zdjęciu ma Pan tyle sukien damskich na ramieniu! To jakieś kostiumy do teatru? Tyle strojów… Co to za okazja?

Jeżeli dobrze pamiętam, to… był taki przegląd zespołów artystycznych województwa zielonogórskiego w Zielonej Górze. Żagański pałac organizował taką grupę i ja tam jechałem też z paroma naszymi dziewczynami, bo nikt inny nie chciał jechać.
One prezentowały fragment jakiejś sztuki. Potem właśnie, jak wychodziliśmy, już wyjeżdżaliśmy z Zielonej Góry, to mi zrobili to zdjęcie. Targałem te suknie, bo dziewczyny mówiły*: „A profesorze, bo my chcemy tam gdzieś jeszcze…* To - mówię: *Dawajcie, zaniosę do autokaru.*

A tu mamy ciekawe zdjęcie w pląsach z panią Jagodzińską. To jakby obrót w tańcu, albo się mylę…?

Chyba jakaś zabawa choinkowa w naszej auli. Nie… Nie w naszej auli, no bo tu widzę obrazy, to w moim gabinecie. Na przykład Andrzejki były organizowane w mniejszych salach. Ale dyskoteki klasowej. Nie nauczycielskiej. Nauczyciele się często spotykali. Pamiętam, ósmy marca - były regularne spotkania. Później i Andrzejki bywały.

Zapytamy o dziewczęta, bo zawsze na większości zdjęć Pan Stanisław Dziura jest w otoczeniu pięknych dziewcząt?

Zawsze mówiłem, że najpiękniejsze dziewczyny są tylko w dwóch szkołach, w siódemce i w ogólniaku. Najpiękniejsze. Nigdzie nie było tak pięknych dziewczyn. Wstyd się przyznać, ale ja nie zawsze kojarzę te buzie.

To bardzo dobrze.

Ale powiedzcie mi, żebym wiedział, jak która przynajmniej ma na imię, no to w życiu nie pamiętam!

Czy jako historyk miał Pan wychowawstwo głównie w klasach humanistycznych?

Moją pierwszą klasą była klasa matematyczna, potem była klasa biologiczno-chemiczna, potem miałem klasę ogólną, potem znowu matematyczno-fizyczną

i tak rotacyjnie. Pamiętam taką historię - jak tych wizytatorów powołano - to przyjechała na wizytację do mnie jedna taka pani wizytator, a pochodziła z Żar. Pani Jadzia. No i tak się złożyło, że ja miałem w IVa - matematyczno-fizycznej klasie historię, wiedzę o społeczeństwie. Cztery godziny pod rząd. I jak ona weszła do gabinetu na górze, tak cztery godziny u mnie przesiedziała. Ja skończyłem zajęcia, klasa wyszła, pani podchodzi do mnie i mówi: *Ja nie będę z panem już omawiać tych lekcji, ale muszę panu pogratulować. Tak cudownej klasy humanistycznej, to ja w życiu nie widziałam*. - *Miło mi* – odpowiadam - *ale muszę panią wyprowadzić z błędu, to nie była klasa humanistyczna, tylko klasa matematyczno-fizyczna*. Ścisłowcy myśleli tak, jak historycy. Uważam, że czasem bajki też trzeba opowiedzieć, bo to wzbogaca i przede wszystkim, jak uczniom już lecą głowy na pulpit, no to trzeba coś tam rozruszać. Trzeba im opowiedzieć jakąś bajkę, ale związaną z historią, z wydarzeniem…

Jak Pan ocenia dzisiejsze nauczanie historyczne? Tak bardzo zawężone (większość materiału poznają tylko wybrani uczniowie na „rozszerzeniu"). Klasy pierwsze kończą naukę historii i później właściwie już nie mają z tym materiałem żadnego kontaktu. Jak Pan to ocenia jako historyk i jako nauczyciel?

Moim zdaniem jest to przede wszystkim tragedia młodzieży. Bo to jest tak: jeżeli nauczyciel historii nie wprowadzi uczniów w epokę, to polonista nic nie zrobi, bo to, o czym mówi, jest zawieszone w próżni. Nie ma kontekstu. Nie ma odniesienia. No bo jak ma na przykład wytłumaczyć uczniom na języku polskim zależność romantyzmu i powstania listopadowego? Trzeba też najistotniejsze daty znać: chrzest Polski, koronacja Chrobrego, data bitwy pod Grunwaldem, II wojny światowej itp. Tu już nawet nie chodzi o wychowanie patriotyczne, bo polonista sobie z tym poradzi. Jeżeli zostawimy poloniście jeszcze klasykę, to sobie poradzi, ale z tak zwaną ogólną wiedzą humanistyczną, bez historii nie da rady.

I to się czuje na lekcji…

Nie wiem, czym się kierowano, co spowodowało, że tak ograniczono historię. Po co?

To jest taka, w moim przekonaniu, niedoskonała kopia struktury zachodniej.

Ja sobie zdaję z tego sprawę, tylko … To może w miejsce historii wprowadźmy Halloween jako wielkie wydarzenie, zdarzenie historyczne, a to przecież bez sensu.

W jaki sposób należałoby poprzez znajomość historii szukać związków między teraźniejszością, a przeszłością?

Poziom cywilizacyjny społeczeństwa rośnie, w nieco innej formie, ale pewne mechanizmy pozostają niezmienne. Tak, na przykład szlachta, wywodząca się z dawnych rodów, chciała mieć króla dla siebie, swojego towarzysza. Czyli w jak największym stopniu odebrać mu władzę. To tak jak w „Ogniem i Mieczem" Zagłoba opowiada, jak jadą na elekcję po śmierci Władysława VI do Warszawy – „ dam za siebie kreskę, oponentów pan Michał wysiecze i zostanę królem". No bo każdy szlachcic, zgodnie z przywilejami, mógł zostać królem. Oczywiście, przesady w tym sporo, ale magnaci zostawali królami. I przywileje… Co robi Jagiełło? Musi dać przywileje, bo inaczej nie wybiorą żadnego z jego synów na króla Polski. Jagiełło jest pierwszym elekcyjnym królem Polski, ale nie z wolnej elekcji, tylko z wyboru. Tylko panowie małopolscy wybrali męża Jadwidze. I co nadaje Jagiełło szlachcie? - prawa obywatelskie. Następnie, po 1572 roku, było bezkrólewie, królowie elekcyjni. I co? Szlachta mając swoje prawa, kiedy jej się król nie podoba, co robi? Nawiązuje rokosz. Mamy pierwszy rokosz w czasach Zygmunta III Wazy, rokosz Zebrzydowskiego w tysiąc sześćset ósmym roku, potem po wojnach szwedzkich… Szlachta bała się o swoje wpływy. Zwykle na czele rokoszu stawał któryś z magnatów, który na przykład nie otrzymał buławy hetmańskiej.

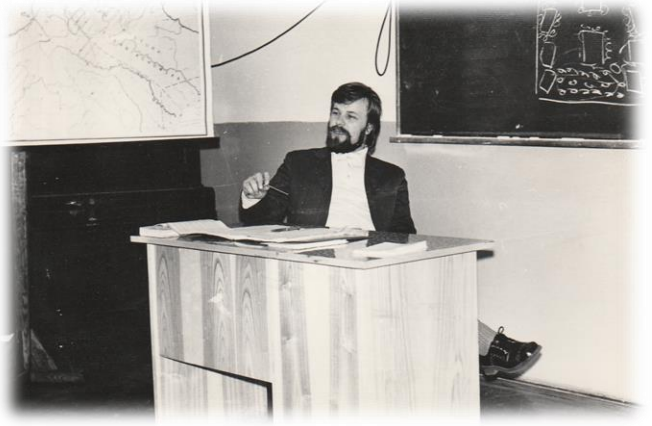

Czyli, jak zwykle, dobro publiczne zdominowały sprawy prywatne? Tu możemy doszukać się tych związków ze współczesnością?

Właśnie. I żeby rozwiązać rokosz, rzecz jasna, król musiał pójść na kompromis. No nie dał komuś wielkiej buławy koronnej, ale dał mu buławę np. polną. Czyli magnat cel osiągnął. A szlachta oczywiście pojadła, popiła i rozjechała się do domów, albo znowu na wojnę. Królowie zostali ubezwłasnowolnieni. I to jest dalej u nas. Nie ma takiego kraju w Europie, może na świecie, gdzie o prezydencie publicznie mówiłoby się dosadnie, niezależnie od sympatii politycznych.

Czy – zdaniem Pana - istnieje coś takiego jak obiektywna interpretacja faktów historycznych? Czy historyk powinien ujawniać swoje poglądy, sympatie polityczne?

Swoje poglądy powinien ujawniać. No pewnie, że tak. Poglądy nie mają nic wspólnego z interpretacją.

Ale ciężko je oddzielić?

Ja nigdy nie interpretowałem żadnego, nawet najbardziej oczywistego faktu z historii. Dlaczego? Bo nie zamykałem drogi do myślenia. No bo jak ja bym dokonał interpretacji faktu, to uczniowie by zapisali i już. Wszystko mieliby z głowy, nie musieliby się wysilać, nie musieliby wyciągać wniosków. Mnie też podpytywali: *„Panie profesorze, dlaczego tak było?”* A ja mówiłem*: No właśnie, będę oczekiwał od was odpowiedzi na następnej lekcji, dlaczego tak było. Macie mój wykład, macie podręcznik. Powinniście już wiedzieć, dlaczego tak to było.* No więc ci, którzy słuchali uważnie, już wiedzieli, o co chodzi. Największy problem to zawsze miały dziewczyny przychodzące do odpowiedzi… A oni wszyscy mnie nazywali „Profesor Dlaczego?”, bo ciągle, jak prosiłem kogoś do odpowiedzi, to formułowałem pytanie na zasadzie: „Dlaczego to i to…”. Chłopcy mieli tutaj jednak przewagę w takim myśleniu krytycznym, analitycznym. Ale dziewczyny jak już się zainteresowały, historią, to chłopcy musieli się ostro napracować, żeby im dorównać.

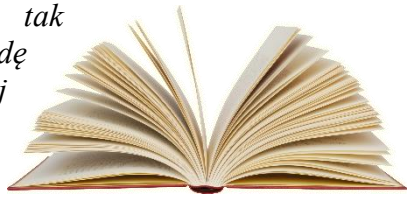

Czy to działała metoda: „przyczyna-skutek”? Czy to była ta metoda historyczna przyczynowo-skutkowego nauczania? Tak to się nazywało?

Tak, tak to się nazywało i tak to powinno być dalej.

Ale nie zawsze jest… A zdolni uczniowie – pamięta Pan swoich wyróżniających się uczniów?

Pewnie. Utrzymuję kontakt do dnia dzisiejszego, dzwonimy do siebie. To jest Ela Szumiec. Miałem taką dziewczynę w mojej klasie, w której byłem wychowawcą. Namówiłem ją na start w olimpiadzie filozoficznej. Dziewczyna wygrała etap okręgowy, pojechała na „centralne”. Na trzecim roku zaczęła robić, oprócz filozofii, filologię polską. Oczywiście dokończyła. Na czwartym zrobiła bibliotekarstwo, a na piątym dziennikarstwo.

Była po prostu wybitnie uzdolniona.

Obecnie jest pracownikiem *TVP Historia*. Wyszła za mąż. Nazywa się teraz Elżbieta Zielińska. Bardzo często do mnie dzwoni i pyta*: Panie psorze, co tam słychać?* Co się chłopcy mieli z nią… Nie byli w stanie jej zaskoczyć. Nie dali rady. Ale najwięcej miałem jednak w olimpiadach chłopaków. Na przykład dzisiejszy doktor Robert Żeleźny, Gustaw Mandziej - pracuje w siódemce – to też mój olimpijczyk. Na drugim etapie do Zielonej Góry go zawoziłem… I każdego roku zawoziłem dwanaście osób, dziewiętnaście, dwadzieścia trzy. To był rekord chyba.

Na zakończenie może opowiedziałby Pan o jakiejś szczególnej, zapamiętanej sytuacji?

Apele szkolne w auli. No i przypadło na mnie, ale także na moją klasę. Wybrałem sobie chłopaków, którzy przychodzili do mnie na olimpiadę historyczną, albo interesowali się historią. Usiedliśmy i wymyśliliśmy, że … że zrobimy Katyń.

To było już po osiemdziesiątym roku?

Tak. A uczniowie mówią do mnie: *Panie profesorze… A to wolno?* I ja wtedy powiedziałem: *To nas najwyżej zamkną, o co się martwicie? Wam się nic nie stanie, bo jesteście niepełnoletni, a mnie to tam wszystko jedno*. Miałem już taką przygodę na wieczorówce. Omawiałem właśnie okres międzywojenny o Józefie Piłsudskim . Uważam go za prawdziwego naczelnika do tej pory. No i kiedy już wszyscy wyszli, jakiś facet został. Nie mogłem go sobie przypomnieć, że był uczniem. No i wstał, podszedł do drzwi, zamknął je i mówi*: Panie profesorze, chciałbym pana uprzedzić . Muszę zameldować tam, gdzie należy.* Mówię*: Miło*

mi, że pan mnie uprzedza. Proszę się nie krępować, taki jest pański obowiązek, po to tutaj pana wysłano. I poszedł. Cisza. Nikt nigdzie mnie nie wzywał, ani niczego ode mnie nie żądał. Dlatego mówię wtedy do tych uczniów: *Robimy Katyń i już, ale musimy to zrobić tak, żeby nikt w auli nie oddychał, bo to jest zdarzenie takie, które nie nadaje się na taką luźną widownię*. No i wymyśliliśmy scenariusz, całą scenę wybiliśmy czarną tkaniną. Zabrakło - to dokończyliśmy czarnym papierem. Chłopcy przynieśli cegły, brzozowe kołki, przynieśli drut kolczasty. Poustawialiśmy to, narysowaliśmy mur.. No i oczywiście wynaleźliśmy teksty. Ja miałem trochę swoich, oni, okazało się, też swoje mieli… Zasłoniliśmy okna w auli. Było ciemno. Na początku, jak zwykle, był gwar… Zgasili światła, zrobiło się cicho. Odsunęła się kurtyna, paliły się świece na różnych poziomach no i zaczęło się. Apel trwał troszkę więcej niż godzinę. Nikt nie wyszedł, nikt się nie ruszył i nikt nie rozmawiał. Przepraszam, źle powiedziałem - wyszli dyrektorzy, oboje.

I ostatnie wspomnienie na zakończenie:

To jak dyrektor Mąkowski przyjechał z Wietnamu i poproszono go o tłumaczenie na język niemiecki delegacji z Niemiec. Wyobraźcie sobie, że on od tego momentu, była 10 rano, zamknął się u siebie w kancelarii ze słownikiem niemiecko-polskim i polsko - niemieckim i na drugi dzień o godzinie 15 poszedł tłumaczyć. Niemcy pytali go, ile lat przebywał w Niemczech, bo tak pięknie mówił po niemiecku. To był taki poliglota…

Widocznie miał niezwykłe zdolności lingwistyczne?

On miał absolutny słuch muzyczny… i coś z matematycznego umysłu. Zginął tragicznie w wypadku z dwoma synami. To była straszna tragedia. Jak był pogrzeb, to na cmentarzu nie było miejsca, żeby się zmieścić. Niektórzy na drzewa wchodzili, na mury dookoła. Był chyba prawie cały Żagań i nie tylko, bo to zjechali się absolwenci, jego koledzy ze studiów, koledzy z pracy. To były czasy, gdy były indywidualności. A Krysia Rochowska? Mało mnie o zawał serca nie przyprawiła. W tej mojej klasie matematyczno-fizycznej. Wtedy były 4 okresy. Ja patrzę w dzienniku, przed klasyfikacją, a z matematyki nie ma nikogo, kto by zasługiwał na ocenę dostateczną! Wszyscy mają dwa, dwa, dwa, dwa, dwa (dzisiejszy niedostateczny). Ale ona miała swój notatnik gdzie miała wszystko odnotowane, a potem do klasyfikacji … żadnej trójki nie było, dużo piątek. Miała taką swoją metodę oceniania i koniec. Z kolei odwrotnie - pani Piechowiak. Jak nastawiała dwój, to nic nie pomogło!… Ja to zawsze z nią walczyłem. Ale po lekcjach często na mnie czekała w pokoju nauczycielskim i rozmawialiśmy o kwestiach polonistyczno – historycznych, na przykład: *Staszek, jak to było tam… Dlaczego tak ważne, że tam w „Panu Tadeuszu" jest ten… Koncert Jankiela i skąd…* No to ja zaczynałem od wykładu historycznego. Że powstanie historyczne..., że oblężenie Warszawy…, że pijany Suworow…, wymordowali nie tylko obrońców, ale i ludność cywilną, kobiety, dzieci… - rzeź Pragi. A powstanie listopadowe…, a Kajetan Koźmian, a Mickiewicz? Walka klasyków z romantykami… itp.

Dziękujemy za rozmowę!

Z Panem Stanisławem Dziurą rozmawiały: Iwona Derendarz, Anna Świeboda

WYWIAD Z p.JÓZEFĄ PIECHOWIAK – NAUCZYCIELKĄ JĘZYKA POLSKIEGO

„...żeby cokolwiek w życiu osiągnąć, trzeba pracować rzetelnie i solidnie.(...) Swoją wartość potwierdza się wtedy, gdy się nad sobą pracuje."

No to zaczynamy w takim razie opowieść o klasie D... Rozpoczęły się nasze kontakty na zasadzie, że tak powiem, przedmiotowej. Zaczęłam ich uczyć polskiego w drugiej klasie, bali się mnie przeraźliwie. Opowiadały mi potem dziewczyny, że jak mnie widzieli na ulicy, to pięć ulic dookoła okrążali, żeby mi nie powiedzieć „dzień dobry". Ale potem okazało się – po skończeniu przez nich drugiej klasy - że dostałam u nich wychowawstwo. Nie wiem, ile łez wylali na boku. W każdym razie zaczęliśmy współistnieć na glebie, że tak powiem, naukowej, tudzież obyczajowej. Była to klasa bardzo ciekawa ze względu na stosunek do życia. Tak bym to określiła. Byli bardzo zgrani, w ogromnej większości. Ale nauka nie była ich szczególnie mocną stroną. W związku z powyższym, jako poważna i surowa wychowawczyni, „objeżdżałam" ich równo. Najbardziej to zapamiętali i do dzisiaj, właściwie, to wspominamy przy naszych spotkaniach, podobnie jak moją „wstawkę" na temat ich częstych pobytów w „barze". Właściwie to nie sprostowali tego od razu. Dosyć długo to trwało, zanim powiedzieli mi o barze w słynnym hotelu „Nadbobrzańskim". No cóż. Lata, że tak powiem, mijały – przepraszam – miesiące mijały, a na zakończenie, co było niesamowite dla mnie - przeprowadzili mnie z ulicy Szprotawskiej na ulicę Pomorską. Zebrała się grupa ludzi. Jola Dymowska dużym fiatem - to było wtedy dosyć prestiżowe auto - przewoziła mniejsze rzeczy, a chyba Marek Musielak załatwił ze swoim znajomym taksówkarzem bagażówkę i w ten sposób zostałam przeprowadzona.

Wspominam bardzo ciepło wiele naszych spotkań już po ukończeniu szkoły. W każdym razie jest to klasa, której nie zapomnę nigdy, i która właściwie, choćtyle lat minęło, trzyma się – przynajmniej część tych ludzi - razem. Pomagają sobie nawzajem, wspierają się, spotykają, oczywiście przy okazji wspominając dawne czasy. Z myślą o tej klasie, mogłabym powiedzieć, że warto – i to by było moje przesłanie do młodych ludzi, (...) starać się pielęgnować przyjaźnie zawierane w szkole średniej, nie tylko w czasie pobytu w tejże szkole, ale i na tak długo, jak się tylko da. Szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy kontakty międzyludzkie są niezbyt intensywne. I to by było na tyle naszej wycieczki.

W jakich latach pracowała Pani w liceum i jak to się stało, że trafiła Pani do Żagania?

Trafiłam do Żagania tylko i wyłącznie dlatego, że bardzo mi się podobała nazwa miasta Żagań. Kiedy byłam na studiach w Poznaniu, zobaczyłam przed dziekanatem ogłoszenie o tym, że zapewniają stypendium ufundowane komuś z polonistyki w 1969r. Ponieważ ja byłam wtedy na IV roku studiów, skorzystałam z tego stypendium, no i w ten sposób trafiłam do Żagania. Mogę tylko tyle powiedzieć, że pierwsze moje zetknięcie z Żaganiem było bardzo ciekawe pod względem wizualnym, bo to było piękne lato no i oczywiście piękny krajobraz, Bóbr itd. Zachwyciło mnie to wszystko. Pracę zaczęłam w październiku 1969r.. Wysłano mnie najpierw do Gozdnicy, potem do Szkoły Podstawowej nr 7, gdzie przepracowałam rok. No i w 1970 roku „wylądowałam" w Liceum Ogólnokształcącym. I tak to się zaczęło.

Do końca pracy zawodowej uczyła Pani w LO im. S. Banacha?

Do końca pracy zawodowej, do 2001 roku. Niecałe 32 lata pracy.

Które momenty były dla Pani „jasne" albo wyjątkowo „ciemne"? Przed czym by Pani ostrzegała młodego nauczyciela?

Młodego nauczyciela? To jest bardzo trudna sprawa. Wracając do tych jasnych momentów - to właściwie mogę powiedzieć o dwóch. Jeden moment to taki, kiedy dzięki kilku uczniom z pewnej klasy zostałam belfrem roku. To było niesamowite przeżycie, tym bardziej, że w nagrodę pojechałam na wycieczkę do Londynu. Zaskoczyli mnie kompletnie. Kiedy takie rzeczy przydarzają się w życiu nauczyciela, to coś naprawdę wspaniałego. Druga sprawa to bardzo skromne i sporadyczne sukcesy związane z olimpijczykami. Tak jak mówię - niewielu ich było, ale wryły się w pamięć i z niektórymi olimpijczykami utrzymuję kontakt po dziś dzień. O mrocznych stronach, których w mym ciężkim zawodzie nie brakuje, nie będę mówić, bo to jest jubileusz.

Była Pani nauczycielem z pasją? Skąd czerpała Pani taką chęć przekazywania pasji polonistycznej młodszym pokoleniom?

Powiem tak, że właściwie wyniosłam z domu przekonanie o tym, żeby cokolwiek w życiu osiągnąć, trzeba pracować rzetelnie i solidnie i tego się właściwie trzymałam. W ogóle to uważałam, że nauczyciele powinni młodzież próbować zachęcać do rozwoju, bo to jest bardzo ważne dla każdego człowieka, żeby potwierdzić swoją wartość. A swoją wartość potwierdza się wtedy, gdy się nad sobą pracuje. Przyznaję bez bicia, że byłam ostra i tego na dzień dzisiejszy żałuję, że byłam ostra i za bardzo zasadnicza, że w swojej pracy zawodowej tylko wtedy, kiedy uczniowie wykazywali inicjatywę nawiązania ze mną bliższych kontaktów, na to reagowałam. Nie wychodziłam sama nigdy z propozycjami takiego bliższego kontaktu, być może, że to cechy charakteru po prostu. To były piękne dni, ale dobrze, że się skończyły, bo to jest praca, która wyczerpuje, jeśli się podchodzi do niej tak, jak powiedziałaś moja droga koleżanko, z pasją!

Dziękuję za rozmowę!

Z p. Józefą Piechowiak rozmawiała: Iwona Derendarz

WYWIAD Z NAUCZYCIELKĄ JĘZYKA ROSYJSKIEGO - p.MARIĄ JUSIŃSKĄ

"Partnerstwo na innych zasadach, a nie polegające na tym, że uczeń może wszystko!"

Czy mogłaby Pani opowiedzieć o początkach pracy w Banachu. Jak Pani pamięta pierwsze dni, pierwsze lekcje? Pierwsze kontakty z ludźmi, z uczniami? Emocje z tym związane?

Najbardziej pamiętam przyjazd. Przyjechałam oczywiście spóźniona, bo miałam się chyba zjawić około 20 sierpnia, ale byłam na wycieczce studenckiej, pierwszy raz w życiu za granicą i nad Morzem Czarnym. W ogóle morza nie widziałam. Wtedy pierwszy raz morze zobaczyłam. No i przyjechałam, chyba tak z tydzień przed rozpoczęciem roku szkolnego. Przyjechałam o godzinie szóstej wieczorem. Poszłam do szkoły, a pan Molenda mówi: *"Dyrektora nie ma, jutro pani przyjdzie"*. Mówię: *Co robić?"*. A ciocię miałam w Bytomiu Odrzańskim. Wsiadłam w pociąg i do Bytomia Odrzańskiego. Ciocia się zdziwiła, jak tak nagle przyjechałam. No i później oczywiście przyjechałam, przyjęto mnie. Wtedy był dyrektor Banach. No i chyba z miesiąc mieszkałam w szkole. Tam na drugim piętrze, był chyba taki gabinet lekarski, ale lekarza nie było, to tam mieszkałam. Oczywiście pamiętam pierwszych nauczycieli, których zobaczyłam: panią Chorabik, bo ona też była nowa, panią Tomczak, która była sekretarką.

Polonistka była sekretarką?

Tak, ona tam była sekretarką, zaraz po maturze poszła pracować, a później była polonistką. Dano mi klasy od piątej do jedenastej. Najtrudniej mi się pracowało z piątoklasistami. Trudno mi było nad nimi zapanować. Ale później już fajnie było, bo miałam takiego ucznia Raczaka. Dużo sprawiał kłopotów i jak na wycieczkę pojechaliśmy do lasu, to on uciekł do domu rowerem. Dzieci mnie pocieszały: *"A on tak zawsze, pewnie jest już w domu, niech się pani nie martwi"*. No i był w domu. Zawsze uciekał. To były przyjemne, sympatyczne dzieciaki. Najpierw to tak miesiąc w szkole mieszkałam, a potem w Domu Nauczyciela na ulicy Mickiewicza. Mieszkali tam też państwo Mrożkowie. I ja tam zamieszkałam na poddaszu, a pani Chorabikowa w drugim pokoju. Najgorsze były zimy. Woda nam zamarzła,

miałyśmy ją na korytarzu. Po przyjściu ze szkoły robiłyśmy kilka kółek wokół tego domu, by się rozgrzać, a później wieczorem chodziłyśmy do kina, bo tam było ciepło.

Czyli państwo Mrożkowie to byli pierwsi nauczyciele, których Pani tu poznała, poza dyrektorem, panią Chorabik?

Poznałam państwa Mrożków, bo też byli młodzi. Pana Tomczaka, bo chyba też tam mieszkał, państwa Ślusarków, bo też tam mieszkali, i pana Łukomskiego. To byli pierwsi, których poznałam.

A kto jeszcze pracował w tym czasie w liceum?

Pani Rochowska, pan Kowalczyk, ale on później odszedł, był już trochę starszy, pan Puchar, pan Jurga, pan Jusiński. My z Chorabikową byłyśmy w tamtym momencie najmłodsze.

A pojawił się stres przy pierwszych zajęciach z młodzieżą? Towarzyszył Pani?

A bo ja wiem… Na pewno się stresowałam, bo to zawsze są jakieś emocje. Teraz już nie pamiętam jakie. Przed pójściem do pracy mieliśmy różne praktyki. Człowiek zawsze się stresował. W tym czasie, pamiętam, chociaż wygody nie było, nic nie było, to było wesoło. Z panią Chorabikową siedziałyśmy długo po lekcjach. Była taka lampa pod sufitem i zrobiłyśmy sobie klosz, był nastrój. Pracowałam jeszcze w wieczorówce. Chociaż dyrektor mówił, że jestem za młoda, to dostałam jedną klasę.

A ile lat Pani miała, kiedy zaczęła Pani tutaj pracę?

Byłam po studiach. Nie miałam jeszcze dwudziestu dwóch lat.

To rzeczywiście, bardzo młodo rozpoczęła pani pracę w zawodzie.

Byli młodsi, nieraz po szkole średniej zaczynali pracować. Tamte czasy bardzo mile wspominam. W sobotę, nie, bo to był dzień pracujący, ale w niedzielę na dancingi chodziliśmy do klubu oficerskiego. Także… tamte czasy bardzo dobrze wspominam.

Czasy w dużej mierze związane z życiem polekcyjnym. Była ta więź między nauczycielami, uczniami i właśnie to jest nie tyle odmienne, co ujmujące w tych Państwa relacjach. Jak Pani wspomina te przyjaźnie nauczycielskie, klimat zawodowy związany z życiem w szkole i poza szkołą?

Bardzo, bardzo sympatyczny czas. Z okazji jakiejś uroczystości spotykaliśmy się w pokoju nauczycielskim, w auli, młodzież miała jakieś tam tak zwane "wieczornice", akademie, a później komitet rodzicielski jakiś poczęstunek fundował. Często jeździłam na wycieczki, może nie z samego początku, ale później już bardzo często: do opery do Wrocławia i w góry.

A miała Pani taki moment w życiu zawodowym, niekoniecznie na początku, tylko w ogóle, kiedy Pani tak sobie pomyślała, że "jednak już nie, nie chcę pracować", czy, że jest za ciężko, bo dzieci się nie uczą?

Nie. Miałam może moment, ale nie o nasze liceum chodziło. Przez pewien czas pracowałam gościnnie w technikum. Tam przez niektóre klasy, szczególnie wielozawodowe, to ja myślałam: *"Co ja tutaj robię?"*. Nasza młodzież była wspaniała, a tam i dyscyplina była inna, uczyć się nie chcieli. Oni mówili: *"A co pani, na olimpiadę chce nas wysłać?"*. Nasza młodzież, na tle innych, była wspaniała. Nie miałam takich momentów, że miałam już dosyć. No, były lepsze i gorsze dni. Oczywiście, problemy były wtedy, kiedy młodzież się nie uczyła, bo takie dyscyplinarne, wychowawcze problemy nie były rażące, raczej ich nie było.

A miała Pani uczennicę, ucznia, którzy zaimponowali Pani? Po prostu nauczyła się Pani czegoś od ucznia, bo przecież taka natura w tym zawodzie, że co jakiś czas pojawiają się bardzo wyjątkowi ludzie, albo

wyjątkowo zdolni, albo wyjątkowo mądrzy, albo chociaż w jakimś stopniu imponujący. Ma Pani w pamięci taką osobę?

Oczywiście, nawet wiele osób. Trudno mi wymienić wszystkie. No chociażby osoby związane z olimpiadami. Nawet miałam uczennicę w olimpiadzie międzynarodowej

Czy pamięta Pani, jak się nazywała?

Dorota Rams. No i w „centralnych" miałam parę uczennic. Tylko uczennice, nie uczniów. Baśka Szwarc też była w „centralnych", Krystyna Jedynak, Alicja Wawer. Ach, jeszcze Urszula Marculewicz.

A jakaś sytuacja szczególna, którą Pani by nam chciała opowiedzieć w związku z pracą w liceum?

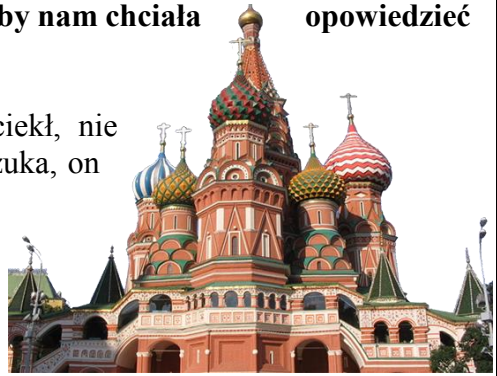

To tylko chyba Prima Aprillis. Ktoś uciekł, nie z mojej lekcji, tylko z lekcji pana Staszczuka, on PO uczył. On do mnie przyszedł i mówi: *"Klasa uciekła, niech pani coś z nimi zrobi, jakąś karę"*. Myślę: najlepszą karą będzie zadać nauczyć się czegoś na pamięć z rosyjskiego. I zadałam im czytankę.

Po rosyjsku?

No tak, po rosyjsku, oczywiście! No i dałam im tydzień na to. Później była chyba wywiadówka, przychodzą rodzice i tak rozmawiają: *"Wiesz, ten mój całą sobotę siedział i się uczył i nigdzie nie wyszedł"*. No i później odpytałam i umieli, nauczyli się,

To był tekst rymowany, proza?

To była czytanka, proza. To była kara, ale twórcza. Czego się człowiek nauczy z języka obcego, to zapamięta.

Jeszcze pytanie o naukę języka. Jak młodzież się uczyła języka obcego? Bo właściwie kiedyś nie było tej mody na znajomość języków obcych, takiej, która jest obecnie?

Były wyjątki, że ktoś się nie chciał uczyć. Gdy na przykład, uczeń bardzo dobry miał trójkę z języka i rodzice mówili: *"No niech mu pani poprawi"*, a ja na to: *"Ale on nie chce się poprawić"*. Ktoś miał na przykład same piątki, czy tam czwórki i trójkę z rosyjskiego. No to myślę: *"Rosyjskiego nie chce zdawać? Co to, to nie!"*. Ale to tylko wyjątki. Niektórzy mieli większe talenty językowe, inni mniejsze.

A pytam o to, bo rusycystki pamiętam jako osoby bardzo zdyscyplinowane, wymagające. To jest taki pewien typ nauczyciela bardzo systematycznego i wymagającego i nie wiem, czy to się jakoś wpisuje w dziedzinę, osobowość? Jak Pani uważa? Od czego ta umiejętność dyscyplinowania jest zależna?

No mi się wydaje, że jak ja prowadzę lekcje, to po to, żeby ich czegoś nauczyć, a nie po to, żeby mile czas spędzić. I uczniowie wtedy to woleliby, żeby zawsze było ładnie, miło. Spotkałam absolwentów i mówili, że dobrze, że jednak tak ich "cisnęłam", przynajmniej im się teraz przydał rosyjski. Potem pracowali gdzieś w Azerbejdżanie, czy skończyli Wyższą Szkołę Morską w obcych portach i im się przydał ten rosyjski i mówili, że dobrze, że ich tak cisnęłam.

Czyli taka prawidłowość. Właśnie potem się docenia, zwłaszcza potem, wymagających nauczycieli. A często Pani się zdarzało unosić głos? To był jakiś odruch naturalny?

Nie. Pamiętam taką sytuację właśnie we Francji z młodzieżą, jak byłam z panią Muchą. Nasza młodzież dobrze znała francuski. Na tyle dobrze, żeby się porozumiewać, bo to były trzecie klasy. No i nasza młodzież była zdyscyplinowana. Pani Mucha głos podniosła i ta pani, chyba Monique, Francuzka, mówi: *"Czemu ona tak krzyczy, co oni zrobili?"*. No nic nie zrobili, ale mogliby coś zrobić.

A rozmawiałyście wtedy Panie o różnicach między naszą młodzieżą, a francuską?

Były to różnice "na plus" dla naszej młodzieży. Pamiętam, że kiedyś jedziemy metrem, dosyć dużo ludzi: młodzież, starsi. Nasi szybko wstali i ustąpili miejsca starszemu małżeństwu, a Francuzi nie.

Jak Pani ocenia młodzież dzisiaj?

No różni są. Są i bardzo grzeczni, bardzo uprzejmi, no i zdarzają się… Zresztą, może nie mam teraz z młodzieżą takiego kontaktu. Nie można od razu powiedzieć, że cała młodzież jest zła.

Zgadza się. A wracając do tych wymian, na pewno jeździliście do Związku Radzieckiego. Czy ma Pani jakieś wspomnienia, zdjęcia?

Tak, do Moskwy. Pamiętam, ale zdjęć właściwie żadnych nie mam. Nasza młodzież tam się świetnie orientowała we wszystkim. Od razu wzięli plan metra i sobie sami jeździli, radzili sobie, język znali, czytać umieli, nie mieli problemu.

Jak oceniłaby Pani zawód nauczyciela?

Zawód nauczyciela zawsze jest potrzebny. To jest bardzo ciężki zawód. Teraz właśnie chyba nauczyciele mają gorsze czasy, gorsze niż kiedyś. Teraz uczeń ma zawsze rację, nauczyciel nie zawsze. Kiedyś tego nie było, no bo wtedy nauczyciel to nauczyciel, a teraz to partnerstwo. To partnerstwo nie zawsze jest chyba dobre. Owszem, uznaję partnerstwo na innych zasadach, a nie polegające na tym, że uczeń może wszystko.

Dziękujemy za rozmowę!

Z p. Marią Jusińską rozmawiały: Iwona Derendarz, Anna Świeboda

WYWIAD Z p.MARIĄ MUCHĄ – nauczycielką języka francuskiego

„Język francuski był na wysokim poziomie. Młodzież była zmotywowana i uczyła się”

Kiedy Pani zaczęła pracę romanisty w Żaganiu?

To był rok 1974. Ja byłam na ostatnim roku studiów, kiedy tutaj poszukiwali romanistów do pracy. Ze względu na to, że romanista miał zostać dyrektorem, mnie tutaj ściągnęli.

A bezpośrednio skąd przyjechała Pani do Żagania?

Studiowałam w Poznaniu, a mieszkałam w takiej małej miejscowości - Skwierzynie, to też województwo lubuskie niedaleko Gorzowa. Dyrektorem był wtedy p. Mąkowski.

Dużo godzin języka francuskiego miały klasy na poszczególnych poziomach?

Był jeden „ciąg” z poszerzonym językiem francuskim tzw. humanistyczny była jeszcze łacina. Ona była do momentu, kiedy dyrektor zginął tragicznie. Wówczas nam, bo byłyśmy dwie romanistki, przydzielono jego klasę. Miałam 2 lata na studiach łacinę, a żeby czegoś nauczyć, trzeba jednak coś wiedzieć i w związku z tym zrezygnowaliśmy z łaciny. Tam było 7 godzin tego języka, a 4 godziny były w profilu podstawowym. Wtedy był u nas tylko język francuski, nie licząc rosyjskiego, bo on był obowiązkowy.

Mówi pani „Ja i ta druga romanistka”. Kim była ta druga?

Francuskiego i historii uczyła pani Derendarz. Drugą romanistką była moja koleżanka ze studiów - Miecia Wereszczyńska. My razem zaczynałyśmy studia, z tym, że ja wcześniej urodziłam dziecko i w związku z tym miałam rok przerwy i skończyłam rok później.

Mogłaby Pani opisać naszą szkołę z tych „początków”? Niekoniecznie pod względem wizerunku, myślę o ludziach, uczniach. Co Pani z tego czasu najbardziej zapamiętała? Jak wyglądała szkoła wtedy?

Klasy były tak bardzo liczne. Jak ja zaczęłam pracować, to w klasie było 40 osób, a w „porywach” nawet ponad. Były klasy matematyczno-fizyczne, biologiczno-chemiczne, z poszerzonym francuskim, czyli tzw. humanistyczne i profil ogólny.

A jak uczniowie uczyli się wtedy francuskiego? Obowiązkowy był rosyjski, a język zachodni był rzadkością. Zdaje się, że tylko w liceum można było uczyć się j. francuskiego?

W „mechaniku” też był, a we „włókienniku” to nie wiem. Młodzież uczyła się chyba tak samo jak teraz. To znaczy był swego rodzaju doping, ponieważ w tamtych czasach wymiana z Francją to był ewenement, można powiedzieć nawet, że na skalę Polski. Oni mieli ten doping, że przy dobrych i bardzo dobrych ocenach z języka francuskiego mogli być typowani do tej wymiany. W każdym razie język francuski był na wysokim poziomie. Młodzież była zmotywowana i uczyła się, nie powiem, że nie.

Był jakiś epizod na lekcji, który Pani pamięta? Coś zabawnego, ale przyjemnego. Może jakaś osoba konkretna, zapamiętana?

Teraz na tę chwilę na gorąco, to mi nic do głowy nie przychodzi.

No to w tę drugą stronę - może pamięta Pani jakiś przykry moment w życiu zawodowym, jeżeli można o tym mówić?

To zawsze były hospitacje. Nie należały do najprzyjemniejszych, zwłaszcza kiedy dyrektor Mąkowski przychodził, który był fantastycznym romanistą i nauczycielem. A ja świeżo po studiach! To już naprawdę trzeba było do razu dobrze zaczynać, nie było innego wyjścia. No i lekcje pokazowe.

Lekcje pokazowe - na czym wtedy polegały? Dla kogo to się robiło?

To różnie, ale to na przykład można było dla kolegów i koleżanek nauczycieli. Pamiętam, że to było w takim „ciągu” - Pan Ślusarek miał lekcję pokazową z biologii i za jakiś czas ja miałam lekcję pokazową z francuskiego. Miałam gabinet zaciemniany i lekcje były, że tak powiem, w ciemności, był rzutnik, magnetofon i się operowało. W każdym razie tam była jakaś scenka powitania, młodzież się witała w języku francuskim. Między innymi polegało to na tym, że oni odgrywali te scenki, które słyszeli, powtarzali, a potem próbowali sami odgrywać: „dzień dobry”, „cześć”, i jak to Francuzi, się całują „na dzień dobry” i „na do widzenia” też. Nasi to trochę znali, bo to była klasa, która była we Francji. No i oczywiście z całusami tam się witają i ogólny śmiech i głosy z tyłu*: „No tak, na biologii plują, na francuskim się całują, co to za szkoła!”*

Pamięta Pani skład Grona Pedagogicznego, z którym Pani pracowała? Potrafiłaby Pani wymienić osoby z imienia i nazwiska?

Zaczynałam z dyrektorem Mąkowskim, który zginął tragicznie po 4 latach. Pani Chorabik geografii uczyła i była zastępcą dyrektora, ale chyba pan Staszek Dziura był tym pierwszym zastępcą i to chyba tylko przez rok. Była pani Jusińska, była pani Regina Derendarz, pani Mrożek, pan Mrożek, pani Łukaszewska, pani Juchnowicz. Potem była chyba pani Piechowiak, pani Tomczak, pani Chodań.

Ze mną to przyszła Miecia Wereszczyńska, Maria Michałowicz, Iza Mulkowska - rosyjskiego uczyła. Fizyki cały czas uczyli pan Puchar i Bartkowiak, biologii - pan Ślusarek, a potem pani Wolska.

Czy mogłaby Pani wymienić uczniów wyjątkowo zdolnych, zainteresowanych j. francuskim albo takich, którzy z jakiegoś innego powodu utkwili Pani w pamięci?

Basia Szwarc, była w klasie humanistycznej. To mógł być '76 rok, jakoś tak. Bardzo zdolna dziewczyna, skończyła arabistykę. Była laureatką ogólnopolskiego konkursu. Z tym, że nie wiem, czy brała udział w olimpiadzie,

ale była osobą naprawdę bardzo zdolną.

A co szczególnie drażniło nauczycieli w zachowaniu uczniów? Co było wtedy „tępione”, co szczególnie nauczyciele zwalczali wśród uczniów?

Sądzę, że jak zwykle papierosy oczywiście!

Dziękujemy za rozmowę!

Z p.Marią Muchą rozmawiały: Iwona Derendarz, Anna Świeboda

WYWIAD Z p.HELENĄ EWERT - FECHNER – emerytowaną nauczycielką matematyki i informatyki

(…) zanim skończyłam pracę, uczniowie już mieli wszystko (komputer i dostęp do Internetu). Świat stał się zupełnie inny.

W jakich latach pracowała Pani w naszym liceum?

Z tą szkołą byłam związana od września 1975 do 2007/8 roku? Dosłownie (mieszkałam tu) i zawodowo.

Proszę nam opowiedzieć o inicjatywie związanej z projektem konstytucji szkolnej.

Jak chcecie, to możecie sfilmować, jak wyglądał karton z dokumentami konkursowymi - to jest oryginalny karton od Konstytucji, który był wysyłany do Warszawy i potem do nas wrócił.

Czyli to jest historyczny karton?

Tak.

A jak wszystko się zaczęło?

Ogłoszenie o tym konkursie przeczytałam w *Gazecie lubuskiej*, było tam napisane, że każdy może zgłosić szkołę. Więc wzięłam taką zwykłą pocztową kartkę i zgłosiłam. Po pewnym czasie Dyrektor wziął mnie „na dywanik”: *Co ty sobie myślisz? Kto to będzie robił?* Powiedziałam, że jak zgłosiłam, to będziemy robić! Okazało się, że organizatorzy zwrócili się do Dyrekcji o oficjalne potwierdzenie zgłoszenia szkoły do konkursu.

Pod koniec prac przeprowadziliśmy w szkole referendum konstytucyjne z zapytaniem: „Czy jesteś za przyjęciem Konstytucji Szkoły w wersji przez nas zaproponowanej, czy nie”.

Takie były zasady konkursu, obowiązywał regulamin, według którego pracowaliśmy. Przed Referendum w całej szkole rozwieszane były plakaty dotyczące konstytucji.

Przez kogo był ogłoszony regulamin? Kto patronował temu przedsięwzięciu?

To była Fundacja Stefana Batorego, Helsińska Fundacja Praw Człowieka oraz Centrum Badania Opinii Publicznej. W skład jury wchodzili, między innymi: Bronisław Geremek, Alicja Grześkowiak, Walerian Piotrowski, Tadeusz Mazowiecki, Donald Tusk, Ewa Łętowska, Tadeusz Zieliński, Andrzej Zol, Lech Falandysz, Zbigniew Janas, Lena Kolarska-Bobińska, Marek Nowicki. *Nagrody to wy na pewno nie dostaniecie* - tak nam mówili przed wyjazdem. A okazało się, że nasi uczniowie najlepiej wszystko udokumentowali i to spodobało się jury.

I to też wysyłaliście jako rodzaj dokumentacji?

Tak, zbieraliśmy wszystko, żeby jak najlepiej udokumentować nasze działania. W dniu, w którym odbyły się pierwsze wybory do Izby Kamratów otrzymaliśmy zaproszenie do Warszawy na ogłoszenie wyników. Nie pamiętam, ale chyba Bożenka Wolska przyszła z telegramem, że w sobotę mamy przyjechać do Warszawy, jeszcze nie wiedzieliśmy, czy po nagrodę. W Sejmie najpierw prezentowali okładki od Konstytucji, nasza została umieszczona bardzo wysoko (najwyżej), żartowaliśmy między sobą, że to dlatego, iż jest najładniejsza, że wygraliśmy konkurs na okładki. Potem się okazało, że wygraliśmy konkurs na Konstytucję Szkoły.

Pierwsza wygrana?

Tak, to była główna wygrana.

A pamięta Pani nazwiska uczniów, którzy byli najbardziej zaangażowani?

To była grupa inicjatywna, w składzie: Monika Koprowska, Kamila Konieczek, Kuba Muskała, Emil Lewandowski, Bartosz Szymanek, Mirek Fechner.

To była taka społeczna inicjatywa, dobrowolna?

Wszystko poprzedziło moje ogłoszenie z informacją, gdzie odbędzie się pierwsze spotkanie chętnych do udziału w konkursie i pracy nad Konstytucją Szkoły. Każdy mógł przyjść i wziąć udział w tych pracach. Moim głównym celem było zdobycie pieniądzy na pracownię. Chodziłam cały rok, jeździłam do zakładów pracy i żadnego porządnego sponsora nie można było znaleźć a „juniory" się sypały.

A czy inni nauczyciele Pani pomagali?

Nauczyciele - wszyscy pomagali. Oficjalnie w grupie inicjatywnej był Jurek Czapracki. Wszyscy pomagali, bez wyjątku. W zebraniach uczestniczył też obecny dyrektor, który wtedy uczył geografii. Jak brał grupę na rajd w góry, a ja jechałam z nimi, to tam też wszystko konsultowaliśmy... Każda klasa dostała nasz projekt konstytucji. Na lekcji wychowawczej uczniowie zapoznawali się z naszymi propozycjami i rozwiązaniami, wszyscy mieli prawo zgłaszać uwagi, oceniać, proponować zmiany.

A jak długi był czas opracowania tego konkursowego materiału?

Gdzieś pół roku mniej więcej.

To mało czasu, na tak ważny dokument!

No i nie było wiadomo, jak to w ogóle robić, jak zacząć. A pomysły były różne!

A czy wzorowaliście się na Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej?

Na różnych konstytucjach. Każdy po wakacjach miał za zadanie donieść jakiś projekt, bo już było mało czasu. A przed wakacjami były spotkania, na których rozważaliśmy, co to w ogóle jest Konstytucja, jaki ustrój jest najlepszy?
Nie szło nam, nie szło… Aż, w pewnym momencie - mówię: *Słuchajcie, Po co nam Konstytucja? Jeśli nie wygramy, a możemy nie wygrać, bo to przecież jest konkurs, to będzie nam przykro, że daremnie się napracowaliśmy. Byłoby dobrze, żeby Konstytucja do czegoś się przydała, żebyśmy nie pracowali na darmo*.

Taka motywacja wzmocniona?

I dopiero wtedy, zaczęło lepiej iść. Chcieliśmy, żeby Konstytucja była przydatna, żeby można było ją wdrożyć. Staraliśmy się określić prawa i obowiązki wszystkich członków szkolnej społeczności.

Czy dokument, nad którym pracowaliście poddany był konsultacjom językowym, prawniczym?

Tak.

Te konsultacje też były wymagane przez regulamin, czy to była wasza inicjatywa?

W regulaminie był zapis: „Konkurs ma na celu upowszechnianie idei konstytucjonizmu w szkołach. Adresowany jest do wszystkich szkół średnich, niezależnie od ich statusu i profilu. Ocenie jury podlegać będą treści Konstytucji oraz sposób jej powstawania i uchwalenia. Konstytucja szkoły, tak samo jak Konstytucja państwa, ma zapewniać uczestnikom wspólnoty poczucie bezpieczeństwa, określać ich prawa i obowiązki, a także precyzować reguły podejmowania decyzji oraz rozstrzygania sporów wewnętrznych.” No i kompetencje wszystkich organów, obowiązki grup, to wszystko było w regulaminie, czyli z tego by też to wynikało... Zgłoszenie należało przesłać do 28 marca, dokumentację do 11 listopada, a ogłoszenie wyników miało być, i było, 10 grudnia 1994 roku. To wszystko było w regulaminie.

Wróćmy do początków pracy w zawodzie – w którym roku zaczęła Pani pracować jako nauczycielka?

Zaczynałam pracę w 1967 roku, ale nie tu w Żaganiu.

W jakim mieście?

W Boruszynie, potem w Czarnkowie.

Czyli to jest Wielkopolska?

Tak

A jakie ma Pani pierwsze wspomnienia związane z naszą szkołą - Liceum im. S. Banacha w Żaganiu?

Zamieszkałam w szkole - Na początku dostałam klasę i nie miałam gabinetu. Tutaj (aktualnie gabinet matematyczny pani Derendarz) była pracownia wychowania technicznego, a tam obok (teraz pracownia komputerowa na parterze) była świetlica dla młodzieży dojeżdżającej i ja się tam ze swoją klasą usadowiłam.

W świetlicy dla młodzieży dojeżdżającej?

Tak i tam prowadziłam zajęcia. Zaproponowałam kiedyś klasie, żeby na zebranie rodziców upiec ciasto. Miałam taki dość prosty przepis. Przynosiliśmy naczynia, produkty, prodiże i piekliśmy ciasto dla rodziców.
W odpowiedzi na moją sugestię na zebraniu rodziców, *„Może podczas przerwy jesiennej dałoby się zorganizować coś w rodzaju Hufca Pracy”* - Mama jednej uczennicy załatwiła w Nadleśnictwie w Wymiarkach pracę, wyżywienie i nocleg. I myśmy tam całą przerwę jesienną byli, w dzień pracowaliśmy, wieczorem się bawiliśmy, wygłupialiśmy….
Wszyscy byli zadowoleni – Nadleśnictwo również, bo chętnie przyjmowali nas w następnych latach.
Na początku ja, świeżo przybyła z Czarnkowa do Żagania, co chwilę mówiłam: *A u nas w Czarnkowie…* Aż jedna dziewczyna - Renatka, mówi do mnie: *Pani profesor, a kiedy będzie pani mówiła: a u nas w Żaganiu?*.

Gdyby miała Pani porównać inicjatywy młodzieżowe, które dawniej były obecne w naszej szkole, z czasem ostatnich lat swojej pracy. Czy coś się zmieniało? Nie chodzi tylko o nazwy organizacji, bardziej o sposób takiego zrzeszania się młodzieży?

Jak zaczynałam pracę, to były zupełnie inne czasy. W telewizji były z dwa programy, nie było tylu rzeczy, które odciągały młodych ludzi od nauki, inicjatyw pozalekcyjnych. Także było zupełnie inne podejście. Zostanie w szkole po lekcjach nie stanowiło w ogóle problemu. Uczniowie nawet się nie buntowali, nieraz specjalne zostawali. Ale młodzież zawsze była fajna. Z młodzieżą zawsze lubiłam pracować. Pracę w Banachu, rozpoczęłam w momencie wychodzenia ze szkół średnich organizacji młodzieżowych ZMS, ZMW, w to miejsce wchodziło harcerstwo z programem Harcerska Służba Polsce Socjalistycznej. Ja myślę, że nie ma co porównywać sposobów organizowania czasu młodzieży. Inne czasy. Ale zawsze jak podejdziesz do uczniów z sercem, to też, myślę, że tego samego doświadczysz.

A jakie grupy Pani prowadziła? Zawsze była Pani osobą z inicjatywą. Zawsze była Pani zaangażowana w różne przedsięwzięcia?

Moje początkowe inicjatywy to harcerstwo, obozy, biwaki, wędrowanie po górach... Potem była sprawa z komputerami. Nie można było znaleźć pieniędzy na komputery, a starzały się bardzo szybko, ledwo wyszły ze sklepu - już były stare. Szkoły nie było stać, szkoła po prostu, jeśli chodzi o finanse, nie nadąża. Nie wiem, ile trzeba by dołożyć, żeby być zawsze na bieżąco. Jeżeli chodzi o warunki techniczne, to szkoła nie jest w stanie nadążyć za rozwojem techniki.

Z tamtych czasów jeszcze pamiętam, że na 40-stolecie szkoły dostaliśmy ZX Spectrum +. To był pierwszy komputer w szkole, kupił go szkole absolwent – Henryk Kozłowski. Przywiózł ten komputer aż z Francji. Potem kupione zostały nam jeszcze trzy komputery i mieliśmy w sumie już cztery. „Spectrusia" można było podłączyć do zwykłego telewizora. A jak był kolorowy telewizor, to był kolorowy obraz. Monitory, były dokupione później. Programy były zapisywane na taśmach magnetofonowych. W szkole nie było urządzenia do nagrywania programów, były za drogie. Potem dostaliśmy pracownię juniorów - jako jedna z nielicznych szkół. Ja się cały czas doszkalałam, w pewnym momencie odeszłam od harcerstwa i bardziej goniłam za komputerami i informatyką, więcej czasu temu poświęcałam. Szkoła dostała wtedy trzy jednostki samodzielne, które mogły trafić do pracowni, sekretariatu, do dyrektora oraz 7 jednostek uczniowskich, które pracowały pod nadzorem jednostki centralnej.

W naszej szkole wszystkie „Juniory" były w pracowni. Juniory często się psuły, bardzo szybko się zestarzały. Przyznana szkole pracownia PC nie dotarła do nas – były opóźnienia realizacji zamówień. Zaczęliśmy szukać pieniędzy na pracownię. Przez rok nawet na jeden komputer się nie zebrało... i wtedy wygraliśmy konkurs na Konstytucję Szkoły. W którymś momencie mieliśmy najlepszą pracownię w województwie.

Który to był rok?

W 1994 roku w grudniu wygraliśmy konkurs, pieniądze dostaliśmy w 1995 roku, już po denominacji (Wygraliśmy pół miliarda starych złotych, czyli 500 000 000, a dostaliśmy 50 000 nowych złotych). Najwięcej pieniędzy z wygranej przeznaczyliśmy na pracownię komputerową, kupiliśmy też pierwszą kamerę do szkoły. Zamysłem organizatorów Konstytucji było też, żeby twórcy nie robili tego za darmo... Już nie pamiętam tych proporcji, ale wydaje mi się, że 20% wygranej można było przeznaczyć dla twórców, do podziału między nimi.

A później byli negocjatorzy? Prowadziliście ich wspólnie z p.Reginą Zagórniak i p.Rafałem Szymczakiem.

W ogóle mi się podobały wszystkie konkursy, w których można było pracować zespołowo. To mi przypominało metodykę pracy w harcerstwie, było jak na zbiórkach i jak wyjazdach na obozy.

Kto był organizatorem tego konkursu „Zostań negocjatorem"?

W tej chwili nie powiem dokładnie...

A cele takich przygotowań młodzieży? Bo to było kształcenie umiejętności negocjacji i czegoś więcej?

Mieliśmy negocjować przystąpienie Polski do UE i to była symulacja prawdziwych rozmów. Oni tutaj siedzieli, ćwiczyli... Przy okazji poznawaliśmy UE.

I wygrali?

Nie, nie od razu wygrali...

Ale była nagroda, wyjeżdżali...

Ale to później, pierwsza ekipa też dobrze się zapowiadała.

A pamięta Pani z tego czasu jakąś ciekawą sytuację?

Pamiętam, jak najlepszy chłopak z zespołu przyszedł i powiedział: *„Rezygnuję z udziału w konkursie, dla mnie matura jest najważniejsza,..."*, i nie pojechał z nami do Zielonej Góry na eliminacje wojewódzkie.

A kolejny zespół negocjatorów?

To była druga edycja konkursu. Uczniowie lepiej się zorganizowali i ja miałam doświadczenie. Wtedy chyba też był z nami Rafał Szymczak i Regina Zagórniak. W drugiej edycji byliśmy już we trójkę. No i tak nam się udało, że żeśmy do

Warszawy pojechali i chyba drugie miejsce zajęli. Potem uczniowie pojechali do Brukseli.

Pamięta Pani nazwiska uczestników?

Skład zespołu laureatów: Daniel Śmierzchalski, Adrian Perek, Jarek Jaskóła, Maciek Kiełbus, Jakub Majewski, Damian Klocek

Była Pani też jedną z pierwszych czytelniczek QQryQ i jedną z pierwszych prenumeratorek, kiedy była jeszcze wersja papierowa. Jak wspomina Pani cały proces powstawania gazetki szkolnej?

Pamiętam, jak przychodziły dziewczyny do sali informatycznej. Ktoś tam popisał artykuły, a ktoś to musiał przyjść i „wklepać" i, jak to zwykle, spadało to na jedną osobę lub dwie osoby.

Nawet pamiętam taką sytuację - jak ktoś chciał jakieś sprostowanie napisać i nie miał czasu, to uczniowie z gazetki musieli mieć ten czas... i przyszli i pisali. Ja tam z nimi siedziałam. I to były moje pierwsze kontakty ze szkolną redakcją.

Jakie były Pani pierwsze spotkania z przedmiotem zwanym informatyką?

Zaczynałam uczyć informatyki prawie od samego początku, jak jestem w Żaganiu. Ściągnęła mnie tutaj moja koleżanka, która wcześniej przyjechała do naszego miasta. Też uczyła matematyki, pracowałyśmy razem w Czarnkowie. Zaczęłyśmy jeździć na studium specjalne informatyki dla nauczycieli matematyki, organizowane przez Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych czyli IKNiBO. Dyrektor wiedział, że tam jeżdżę, miałam matematyczno-fizyczne klasy. Po roku chyba ktoś mi zaproponował, że mam przez rok w trzeciej klasie w „mat-fizie" uczyć informatyki. Naszego obecnego dyrektora również „na sucho" uczyłam. Przypominam sobie takie pierwsze informatyczne zwroty, jak: „skocz do". Język symboliczny, w języku polskim utworzony na wzór komend angielskich. A wtedy tak bardzo

języków się nie uczyliśmy - nie było widać perspektyw na to, że się kiedyś przydadzą. Dla mnie informatyka to był jeszcze jeden przedmiot, którego chciałam się nauczyć. Też uczyłam się przeważnie „na sucho", ale poznałam język programowania FOTRAN 4, na ćwiczeniach, a później na zaliczenie pisałam programy w tym języku.

Programy były realizowane na komputerze IBM (olbrzymia maszyna, umieszczona w specjalnym pomieszczeniu, oglądaliśmy ją przez szybę). Programy pisaliśmy na specjalnych arkuszach zwanych szytami, następnie przenoszono je na karty perforowane, które były wprowadzane przez urządzenie WEJŚCIA. Potem, jak były już te *Spectrusie* czy *Elwro Juniory,* to sporadycznie ktoś miał komputer w domu. Co rok zwiększała się liczba uczniów mających komputery. Potem było tak, że prawie wszyscy mieli komputer, ale jeszcze nie mieli dostępu do Internetu. Ale zanim skończyłam pracę, uczniowie mieli już dostęp do wszystkiego. Świat stał się zupełnie inny.

I to bardzo szybko, Pani to najlepiej obserwowała.

Nie przypuszczałam, jak zaczynałam nauczanie informatyki, że tak szybko dogonimy zachód, a młodzi ludzie tak dobrze sobie z tym wszystkim poradzą.

Dziękujemy za wywiad!

Z Panią Heleną Fechner rozmawiały: Iwona Derendarz, Anna Świeboda

WYWIAD Z p. JANINĄ KICYŁĄ – nauczycielką fizyki

„Królową nauk jest jednak matematyka, ale najważniejsza jest rodzina!”

Na początku tradycyjne pytanie. Chciałabym, żeby Pani opowiedziała o swoich początkach pracy w liceum. Czy pamięta Pani te pierwsze dni?

Pamiętam. W liceum znalazłam się takim sposobem: uczyłam w szkole podstawowej nr 6. Byłam w tym czasie kierownikiem szkoły. Pewnego razu zjawił się, po jednej z moich lekcji pokazowych w szkole, dyrektor Mąkowski z propozycją, żebym przeszła do ogólniaka. Powiedziałam, że się zastanowię, a dyrektor na to: *„Ja przyjadę jutro, proszę się zdecydować”*. I takim sposobem pojawiłam się w liceum.

A który to był rok?

3 lata pracowałam z dyrektorem Mąkowskim. Dwa lub trzy, niedługo.

Był to rok 1975?

Tak.

Pamięta Pani, do którego roku pracowała Pani w liceum?

Pracowałam równe 30 lat.

To bardzo długo.

Byłam w zawodzie 30 lat, nie tylko w liceum. Na emeryturę przeszłam w 1990 roku.

Jak Pani oceniała kolejne zmiany programowe, bo na pewno była ich dużo ilość. Taka jest chyba specyfiką polskiej edukacji, że jest to proces bardzo dynamiczny. W jakim kierunku to zmieniało się za Pani obecności w szkole?

W bardzo dobrym.

Czyli zmiany nie były niekorzystne?

Zmiany były na korzyść uczniów. Ja w klasach „mat-fiz” to miałam 6 godzin tygodniowo fizyki. Dwie godziny były to tzw. wykłady i potem podział na grupy: dwie godziny ćwiczeń dla jednej grupy, dwie godziny ćwiczeń dla drugiej grupy. Faktem było, że te ćwiczenia, głównie laboratoryjne, to trzeba było po lekcjach przygotowywać, siedzieć. Montować na stole jeden zestaw, na tym drugim stole no chociaż te 3-4 zestawy. Ale na te czasy były pomoce naukowe. Uczniowie musieli sami łączyć obwody elektryczne, sprawdzać wszystko z dynamiki, jakiekolwiek doświadczenia wykonywać sami. No i to się im potem zaliczało.

A podejście uczniów do fizyki się zmieniało?

Pasjonatów nie brakowało. Dopiero te ostatnie lata mojej pracy to tak troszkę mniej pasjonowała fizyka.

Odczuła Pani, że nie chce się uczniom trudzić, bo fizyka to jednak wymagający przedmiot?

Tak. Dopiero później te reformy, zmiany - obcinali godziny, nie było podziału na grupy. To już tak nam podcinali te skrzydła.

A mentalność młodzieży?

A młodzież zawsze była taka sama i jest fajna.

Czyli zachowania uczniów nie były związane z czasem, z cywilizacją, z atrakcjami, które się pojawiały z roku na rok?

Młodzież trochę szalała, trochę się uczyła, „po kawiarniach” ganiała. Dlatego dyrektor nam wyznaczał dyżury, to była norma.

A właśnie, zapytam o te dyżury, bo ja znam to zjawisko z filmów z epoki. Jak to działało? Chodziliście sobie tak prywatnie i kontrolowaliście uczniów?

Tak i wchodziliśmy do kawiarni.

I jak młodzież reagowała?

Wychodzili, a później był taki etap, że rodzice również dyżurowali. Między innymi mój mąż chodził. Janusz – syn, był w liceum, to mąż był rodzicem. Chodzili rodzice „po kawiarniach" w 2-3 osoby i sprawdzali, czy nie ma tam uczniów.

Tak jak w „Wojnie domowej", pamiętam taką scenę!

Ale nie pamiętam, żeby młodzież się buntowała. Owszem protestowali, że im wolno, a rodzice nie bronili „w ciemno" swoich pociech.

Czy młodzież ponosiła potem jakieś konsekwencje w szkole, gdy była złapana w kawiarni w nieprzepisowym stanie na przykład?

No nigdy głowy nie urwałam, ale to był wstyd. Nie było kar, cudów. Nic takiego się nie działo.

Czyli odwoływano się do poczucia przyzwoitości uczniów i to wystarczało.

Ja byłam też paskudna pod względem łapania uczniów palących papierosy. Nie cierpiałam tego. Okulistka, u której byłam wczoraj, przypomniała mi: *„Gdzie by teraz nauczyciel do ubikacji wszedł za uczniem"*. A my musieliśmy. Dyrektor kazał chodzić do ubikacji i „wyłapywać" palących. A potem nastąpiła zmiana: młodzieży wszystko było wolno. Pojawiła się presja, że wolno w szkole palić, jak rodzice pozwolą tym, którzy mają 18 lat. Tam za szkołą było miejsce, palarnia. Jak ja miałam tam iść ich pilnować, to było takie upokarzające. Nic bardziej upokarzającego nie przeżyłam w życiu. To było okropne i najgorzej to wspominam z pracy w szkole. To był ten okres demokratyzacji życia po '89 roku. Później już weszła ustawa, że w miejscach publicznych nie wolno palić.

I do tej pory mamy spokój dzięki temu, teoretycznie. O ludzi jeszcze zapytam. Czy przyjaźnie z tamtego czasu jeszcze trwają?

Jak przyszłam do pracy, to wszystkie moje koleżanki mówiły, że to olbrzymia nobilitacja no i wielka niewiadoma. Najcieplej przyjęła mnie Krysia Zielińska, a Renia Derendarz to mi matkowała. Ona mnie tak trochę naprawdę pod te swoje skrzydełka wzięła jak matka, ale jako kumpelka – Krysia. Wprowadziły mnie we wszystkie tajniki, a dyrektor Mąkowski był dla mnie ogromnym autorytetem. Pamiętam, że nawet przed wakacjami mnie zaprosił do kancelarii i mówił tak: *„W przyszłym roku będzie Pani wychowawczynią mojego syna"*. Nie było tego przyszłego roku, bo w wakacje zginął. Autorytet - mądry i wspaniały człowiek,. Krótko z nim pracowałam. A uczniowie uczyli się, pasjonatów było dużo, a później już coraz mniej, wtedy, jak te godziny obcinali. Był też taki okres, że na maturze zdawało się fizykę i ona już była wstępem na wyższe uczelnie. Była komisja z uczelni i egzaminowali, ale nie pamiętam dokładnie kiedy to było. To był sposób dla osób dobrych z danej dziedziny, żeby jakoś się zaprezentować. To były takie „perełki". Wydaje mi się, że każdej uczelni by zależało, żeby takiego ucznia zdobyć już tak u progu. Chodzi o jakość kandydata na studia, na którą uczelnie teraz tak narzekają. Dawniej na maturze pierwsze zadanie było teoretyczne, drugie było opisowe, a trzecie doświadczalne.

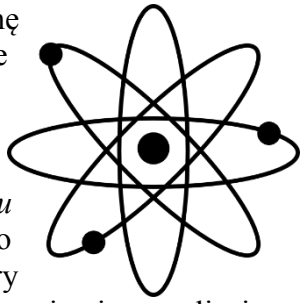

Jak Pani sądzi, po tylu latach pracy: w jakim stopniu osobowość czy sam człowiek, jego dziedzina, wpływają na nauczanie, na to, żeby nie tylko uczyć, a nauczyć właśnie młodych ludzi?

Fizyki nie uczy się tak przyjemnie, bo i matematyka i chemia i elementy fizyki trzeba tam też „wrzucić". Nie powiem, żeby dla mnie tak ponad wszystko była ta fizyka. Zawsze mówiłam, że uczniowie mają być porządnymi ludźmi, bo na fizyce świat się nie kończy, to też mi dali ksywkę „mamuśka".

Taka nazwa to nobilitacja w zawodzie.

Nawet miałam w szkole taki jeden przypadek, a'propos tej „mamuśki", tak mi się teraz przypomniało. Miałam klasę maturalną i jedną uczennicę Wiesię Maj. Był okres matur, ona gdzieś z Klikowa, czy Kliczkowa pochodziła, z małej wioski i mieszkała z drugą koleżanką, której nazwiska nie pamiętam, gdzieś na Kolejowej czy Dworcowej. Mieszkały na stancji. Obydwie były w jednej klasie, uczyły się i mama tejże uczennicy była taka dość dyscyplinująca.

No i tuż przed maturą przychodzi Wiesia zapłakana rano do szkoły. *„Oj, Pani profesor, ja chyba pójdę pod most, co ja z sobą zrobię”*. Wyrzuciła ją z domu mama koleżanki, ale to nie było tak bez powodu. Wiesia nie wróciła w porę i bała się powiedzieć w domu. Więc ja mówię: *„Wiesia, nie przejmuj się, zasłużyłaś, to oczywiste. Pod most nie pójdziesz, przyjdziesz do mnie mieszkać”*. Ta dziewczyna mieszkała u mnie przed maturą. Cały tydzień spała u mnie, a na weekendy jechała do domu. Tej Wiesi tak się spodobało, że maturę zdała i ani myśli się wyprowadzać i prawie się o to pokłóciłyśmy. Zgłosiłam dyrektorowi, że była taka sytuacja.

Czyli ksywa była bardzo zasadna.

Wiesia do mnie dzwoniła. Jest gdzieś nauczycielką na wsi, ma czwórkę dzieci. Ułożyło jej się życie, „wyszła na ludzi”.

A jest jakaś klasa, którą wyjątkowo Pani wspomina?

Moja klasa to są moje dzieci i każda była dla mnie najważniejsza.
Co 4 lata była nowa klasa, a bywało i tak, że miałam dwie klasy jednocześnie. Nigdy tak nie było, żebym nie miała wychowawstwa. Moja klasa miała studniówkę w stanie wojennym.

Pamięta Pani tę studniówkę? Pani Sokołowska o jednej takiej mówiła.

A może to i ona wtedy była w szkole. Pamiętam, że nauczycieli było bardzo mało. My z Heniem Ślusarkiem mieliśmy wychowawstwa. Pamiętam, że był też Stasiu na tej studniówce. Na korytarzach były stoły, a tańce w auli. Co młodzież zgasiła światło, to Pan Ślusarek je zapalał.

A kto organizował imprezę? Dawna studniówka to rodzice i oczywiście stroje galowe biało-czarne.

Tak, a jak trudno było kupić garnitur chłopcom! Pamiętam, jak jeździliśmy do Szprotawy, żeby go kupić synowi. Ale o stanie wojennym to chciałabym powiedzieć. Pojechałam z małym Kubusiem, synkiem, do męża do Niemiec, bo on tam pracował. Pojechałam przed świętami, żeby zakupy zrobić. My tam byliśmy, a moi dwaj synowie nastoletni zostali tutaj.

To był 13 grudnia dokładnie?

Mówili, że nie wyjedziemy z tych Niemiec. To my już tam w panice, bo ja byłam jako jedyna gościem z dzieckiem, bo inni to byli pracownicy hotelu. Potem zadzwonili do Warszawy i pozwolili mojemu mężowi, żeby nas odwiózł i natychmiast wracał. Tutaj zostały dzieci, telefony nie działały i Danusia Chorabik poszła do mnie do domu i mówi do mojego syna: *„Januszku jak się boisz, chodź do mnie do domu”*. A on na to, że nie pójdzie nigdzie, bo się nie boi.

Wyjątkowy miała Pani ten dzień. A jak wyglądała wtedy praca, czy nauczyciele coś odczuli w ten szczególny czas zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego?

Nie, nic się nie zmieniło, tylko wiedzieliśmy, że pewne dokumenty są zabezpieczane i myśmy mieli dyżury w sobotę i niedzielę po ileś tam godzin non stop w sekretariacie.

Wracając do tej wyjątkowej studniówki, podobno były trudności z wyjściem z imprezy?

Do godziny 22 się skończyła, bo to była godzina milicyjna. Nie było żadnej indywidualnej zgody od władz miasta. Młodzież też nic nie protestowała, żeby było do rana. Ja byłam wtedy na „podyplomówce” i do Wrocławia wtedy jechałam. Przejechałyśmy takie obładowane bibułą. Ja taka szczęśliwa, że tyle oświaty do szkoły przywożę, tę bibułę wykładam, a dyrektor Tomkiewicz mi przypomniał, że nie wolno było tego wnosić.

Pamięta Pani młodzież w tamtych czasach? Interesowała się jakoś sytuacją w kraju?

My staraliśmy się ich z daleka od tego trzymać. Nie manifestowali tak bezpośrednio, ale próbowali dyskutować, a my nawet nie podejmowaliśmy tych dyskusji.

A takie weselsze tematy? Zawsze zapamiętuje się ludzi, jakieś epizody, które zapadały w pamięć. Miała Pani jakiś taki śmieszny moment w pracy na lekcji czy poza lekcją?

Tak, było tak na przykład na wycieczkach. Nie o wszystkim się mówi. Wszelkie próby spożywania alkoholu były zabronione.

Co uczeń mógł jeszcze wtedy „zrobić nauczycielowi"? Karteczek nie podmieniali, pytań nie podprowadzali?

Mój Kubuś się urodził, a Janusz był w 2 klasie liceum. Sprawdziany, wiadomo, do domu przyniosłam. Kubuś już był trochę większy, gdzieś 3-4 klasa i długopisik i mazaczki i sobie pisze po tych sprawdzianach. Ja potem patrzę i każdemu na sprawdzianie napisałam *„Przepraszam, to Kuba"*.

Jak pani uważa – która dziedzina jest królową nauk - matematyka czy fizyka?

Matematyka, ale do teraz śledzę odkrycia astronomiczne, pasjonuje mnie to.

Co Pani zdaniem jest najważniejsze w życiu?

Zawsze rodzina! Jest ważniejsza od pracy!

Dziękujemy za rozmowę!

Z p. Janiną Kicyłą rozmawiały: Iwona Derendarz, Anna Świeboda

WYWIAD Z PANIAMI: JANINĄ JAGODZIŃSKĄ (BIBLIOTEKARKĄ SZKOLNĄ) ORAZ INNĄ SOKOŁOWSKĄ (RUSYCYSTKĄ)

„(…) trzeba się uczyć,(…) nauka się nam zawsze przyda. Spotykanie się z ludźmi na uczelni, czytanie (…) buduje człowieka" – I.Sokołowska

Jak Panie wspominają swoją pierwszą pracę i pierwsze dni w naszym liceum, Liceum im. Stefana Banacha w Żaganiu?

p. Jagodzińska: Ja skończyłam to liceum, uczyłam się w tym liceum. Przeszłam z biblioteki miejskiej do tej szkoły. Dla mnie był to ogromny awans, uczyć w miejscu, gdzie mnie uczyli moi nauczyciele. Fajnie wspominam, wszystko fajnie wspominam.

Dlaczego awans?

p. Jagodzińska: Kiedyś, nie wiem, czy teraz tak jest nadal, było tak, że liceum miało swoją renomę. Nawet teraz, niedawno, spotkałam koleżankę mojej siostry, która chodziła do technikum. Zaczęła ze mną rozmawiać i mówi: *"Wiesz, myśmy się nie znały, bo ty byłaś z liceum."* To były takie czasy. Teraz to się wyrównało. Młodzież inaczej spędza czas.

Ale dalej nasza młodzież ma świadomość, że musi więcej.

p. Jagodzińska: Nawet osoby przeciętne w jakiś sposób „podciągają się" do góry, dostają się na studia. Myślę, że to nadal funkcjonuje, tylko trochę na innych zasadach.

A jak ta szkoła wyglądała dawniej? Jak wyglądał sam budynek?

p. Sokołowska: Z zewnątrz nic się nie zmieniło, tak samo wygląda, jak wyglądał. Ja zaczęłam pracę w 1978 roku. Nie byłam absolwentką, ale byłam na praktyce. To był marzec, Dzień Kobiet, i bardzo mi się spodobało. Chyba się spodobałam też dyrektorowi Mąkowskiemu, bo po hospitacji lekcji zapytał, czy podpiszę

z nim umowę w czerwcu i od razu zostałam tu jakby „ściągnięta”.

Jakie ma pani wspomnienia związane ze swoją pierwszą lekcją?

p. Sokołowska: Pierwszej lekcji na pewno nie pamiętam, ale pierwszy ogromny stres pamiętam, bo przyszłam na pierwszą Radę Pedagogiczną i zaproponowano mi IV "D" - klasę maturalną, a tam byli uczniowie, którzy byli o dwa lata młodsi ode mnie. Byłam przerażona tym, że będę wychowawcą w tak dorosłej klasie! Ale później się to zmieniło. Pani Chorabik zadecydowała, że to będzie I "C". Bardzo miło wspominam tę klasę, bo byłam niewiele od nich starsza i te tradycje szkolne były zupełnie inne - były to wieczorki klasowe jak w szkole podstawowej. Zbieraliśmy się w gabinecie, była herbatka, były pączki. Do godziny dwudziestej.

A jak Pani pracowała nad dystansem? Dwa, trzy lata, czy nawet pięć lat różnicy między nauczycielem, a uczniem, to bardzo mało?

p. Sokołowska: Nauczyciel był nauczycielem. Może nie tak, jak przed wojną, gdzie ksiądz i nauczyciel byli najważniejsi we wsi, w parafii. Natomiast w naszej szkole nie było takiego problemu z dystansowaniem młodzieży. Ja miałam klasę bardzo rozgadaną, z którą były problemy na lekcji łaciny.

To była klasa humanistyczna?

p. Sokołowska: Tak, i oni potrafili wejść na ławkę lub krzesło i zdawać raport, a pan myślał, że to tak trzeba. No i były „śmichy-chichy”, bo mogli sobie na to pozwolić. Ale generalnie w liceum była bardzo ułożona młodzież. Pamiętam, że w szkole był wtedy chór. Uczniowie chodzili na zajęcia, bardzo chętnie uczestniczyli. Było sporo innych zajęć pozalekcyjnych.

Jakie były wtedy zajęcia pozalekcyjne

p. Jagodzińska: Kółka teatralne, plastyczne, fotograficzne - w „katakumbach”, tam na dole były. To w tych zajęciach młodzież bardzo chętnie uczestniczyła. Wyjazdy były częste nawet w czasie wakacji lub przed wakacjami. Zaraz jak przyszłam do pracy, w pierwszym roku, byłam na Rajdzie Świętokrzyskim, później był obóz wędrowny, w którym też uczestniczyłam z młodzieżą. Objęłam również wymiany z Francją i z Moskwą - przez dwa lata.

Te wyjazdy były w wakacje, czy w roku szkolnym?

p. Sokołowska: W wakacje.
p. Jagodzińska: Raz, że było taniej, a dwa, że były dofinansowania z Komitetu Rodzicielskiego, tak jak teraz z Rady Rodziców. To było obowiązkowe, bo teraz jest nieobowiązkowe. Mieliśmy pieniądze, które były przeznaczane na dofinansowanie wycieczek klasowych.

W czasie ferii zimowych były też organizowane zimowiska?

p. Sokołowska: Tak, zimowiska też były. W miesiącu obowiązkowy był przynajmniej jeden wyjazd do teatru do Wrocławia, bądź do Poznania. Jeździło się bardzo chętnie i całe klasy w tym uczestniczyły.

A najśmieszniejsze sytuacje? Były takie sytuacje na lekcji, z młodzieżą, coś takiego wyjątkowego, co zapada w pamięć?

p. Jagodzińska: Ja miałam bardzo fajne sytuacje, które mnie ośmieszały, ale mnie bawią do dzisiaj!
p. Sokołowska: Jedną z takich śmiesznych sytuacji była matura. Trzecia może po podjęciu pracy. To był 1984 może rok. Same przygotowywałyśmy pytania na maturę. Na karteczkach trzeba było je napisać i oddać. Nawet nikt tego nie przeglądał, a na maturze zjawiła się pani metodyk. Trzeba było dać zestaw pytań na arkuszu zbiorczym i pocięte zestawy pytań. Pani metodyk przejrzała je i stwierdziła, że nie zaakceptuje tych pytań - a matura miała się za chwilę rozpocząć - dlatego, że w każdym zestawie brakowało pytania dotyczącego Lenina.

Bardzo trudna sytuacja.

p. Sokołowska: Pamiętam do dziś tytuł opowiadania "Lenin przechytrzył Żandarmów" i bardzo się Pani metodyk spodobał, jaki to inteligentny był Lenin. Opowiem jeszcze o stanie wojennym. Moja pierwsza studniówka była w stanie wojennym. Nauczyciele mieli poczęstunek w klasie PO, natomiast cała impreza odbywała się w auli. Do godziny 23 musieliśmy być w domu.

A od której godziny trwała zabawa?

p. Sokołowska: O 18 wszystko się zaczęło. Białe bluzeczki, granatowe spódniczki, było tak bardzo po szkolnemu. Młodzież już się rozeszła, a ja patrzę z mężem na zegarek, godzina była chyba 22:55. Biegliśmy spoceni żeby to zdążyć do domu. Zdążyliśmy, tak że nikt nas nie zatrzymał, ale stres był ogromny.

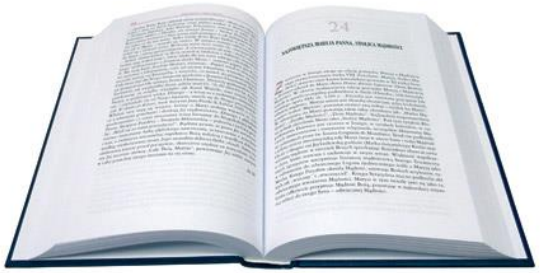

p. Jagodzińska: Nauczyciel też coś znaczył wtedy, to pewnie z tego też wynikało. Właściwie to trudno powiedzieć, czy to był taki zbudowany autorytet, czy też narzucony.

Wydaje mi się, że jedno i drugie.

p. Sokołowska: W tych klasach, które uczyłam ja i pan Dziura, dziewczyny bardzo sobie upodobały pana Dziurę i jeżeli były szkolne wyjazdy, wycieczki, no to z kim jechaliśmy? Z panem Dziurą oczywiście! Dziewczyny były zakochane w panu Dziurze.

Dlaczego właśnie dziewczyny?

p. Sokołowska: Pan Dziura miał specyficzne podejście. Tak po ojcowsku i po partnersku potrafił rozmawiać.

Lubił młodzież?

p. Sokołowska: Czuł młodzież. My też mając „okienko” i jakiś problem w pokoju nauczycielskim - Miecia Wereszczyńska, czy ja - zostawałyśmy w pokoju i ze Stasiem tak fajnie się rozmawiało. Taki „balsam dla duszy”, zawsze od niego można było usłyszeć jakąś radę i człowiek lepiej się poczuł.

Jaki miała Pani kontakt z panią Wereszyńską jako z nauczycielką?

p. Sokołowska: Z Miecią może nie byłyśmy przyjaciółkami, ale kolegowałyśmy się dosyć mocno. Odwiedzałyśmy się też popołudniami. Ja uczyłam jej obu synów. Miałyśmy równoległe klasy, wyjeżdżałyśmy często na wycieczki. Byłyśmy m.in. w Krakowie, Świeradowie Zdroju, w Niemczech. Byłyśmy razem na wymianach. Miecia była bardzo ciepłym, cudownym człowiekiem.

Języki rosyjski i francuski tak trochę „szły w parze”? Oczywiście nie ze względu na rodzinę i pokrewieństwo językowe, tylko ze względu na możliwość poruszania się, np. po miejscach Europy?

p. Sokołowska: Tak, wcześniej pomocny był rosyjski i francuski. U nas w liceum także to tak, siłą rzeczy, musiało funkcjonować. Młodzież bardzo mile wspomina panią Wereszczyńską.

Jakich jeszcze Pani pamięta nauczycieli, którzy uczuli w liceum?

p. Sokołowska: Pamiętam nauczycieli też z opowieści męża. Ja podjęłam pracę w 1978, a mąż skończył liceum chyba w 75. I porównywaliśmy dawnych nauczycieli męża, z którymi ja miała kontakt jako nauczyciel uczący w tej szkole. A później chodziliśmy z nimi na studniówki, jakieś wspólne imprezy, więc te relacje zupełnie się zmieniały, m.in. z p. Marysią Michałowicz, która była wychowawczynią męża. Później mieszkaliśmy w tym samym bloku.

Pamięta Pani dawnych dyrektorów?

p. Sokołowska: Panią Chorabik i pana dyrektora Tomkiewicza. Z nimi miałam dobry kontakt, bo dość długo pracowałam. Na pierwszą wymianę jaką organizowałam do Moskwy, pojechaliśmy razem - pani Chorabik, pan dyrektor i ja. No wtedy tak najbardziej się poznaliśmy. Oni kilka razy byli z wymianą we Francji, a ta wymiana wschodnia była inna, zupełnie inni ludzie. Później Rosjanie przyjechali, z nami do Żagania. Spędziliśmy razem w Moskwie ponad dwa tygodnie i w Żaganiu ponad dwa tygodnie. Jeździliśmy po Polsce. Byliśmy w Warszawie, w górach. Były też organizowane codzienne spotkania popołudniowe.

A Rosjanie mieszkali w domach prywatnych?

p. Sokołowska: Nie, nie. Mieszkali w internacie szkoły „59".

Sporo też czasu minęło. Czy młodzi ludzie chętnie uczyli się języków obcych?

p. Sokołowska: Tak, sporo czasu minęło. Nie było wyboru, były dwa języki: rosyjski i francuski. Francuskiego uczyli się chętniej, natomiast łatwiej im przychodził rosyjski. I więcej osób wybierało go na maturze. Jest to jednak język słowiański. Zdarzało się, że uczniowie realizujący rozszerzony język francuski, do matury chcieli podchodzić z języka rosyjskiego. I nie bardzo chciałam się na to godzić, to jednak dużo pracy z przygotowaniem do egzaminu. Ale zawsze z romanistkami jakoś sobie dawałyśmy radę, bez ingerencji „sił wyższych" – dyrekcji. Pamiętam też taką sytuację z dyrektorem Śmieszkiem, który mi przypomniał coś, co ja zupełnie inaczej widziałam. Na jednej lekcji do przygotowania była scenka – opowiadanie, które trzeba było rozpisać na role. Chłopcy je przygotowywali, a ja się rzekomo bardzo zdenerwowałam, bo odgrywali je niewłaściwie, ironicznie. Nie pamiętam tego, ale dyrektor mówił, że tak było. Mówił, że to było takie ironiczne podejście do tematu.

Matura dla Pani i dla nauczycieli wówczas pracujących w szkole była trudnym, stresującym wydarzeniem? Jak to Państwo przeżywali?

p. Sokołowska: Na pewno to było wydarzenie! Każda matura była wydarzeniem. Trzeba było włożyć bardzo dużo pracy, żeby przygotować pytania. Zestawy musiały obejmować cały program. W każdym zestawie musiały być pytania z różnych działów.

Duża odpowiedzialność za jakość?

p. Sokołowska: Tak. Teksty też trzeba było przygotować, a wiadomo, że tych tekstów w języku rosyjskim było dużo. Prenumerowaliśmy czasopisma, gazety, tym się też posiłkowaliśmy.

Jakie przesłanie – słowa na zakończenie skierowałybyście Panie do dzisiejszych uczniów, nauczycieli?

p. Sokołowska: Popularnie powiem, to co mówili mi rodzice, nauczyciele i dorośli ciągle powtarzają: trzeba się uczyć, nawet jeśli nie będzie się pracowało w danym kierunku. Studia trzeba skończyć, dawać z siebie jak najwięcej i zdobywać wiedzę każdego dnia.
Rodzice – rozmawiajcie z dziećmi, nie traćcie kontaktu.

p. Jagodzińska: To będzie bardziej przemowa, nie puenta. Występuję jako rzecznik wszystkich nauczycieli:
Kiedyś to się uczeń cieszył, jak mógł z nauczycielem porozmawiać, a teraz to cieszy się nauczyciel, jak uczeń się do niego odezwie!

Dziękujemy za rozmowę!

Z p. Janiną Jagodzińską i Inną Sokołowską rozmawiały: Iwona Derendarz, Anna Świeboda

WYWIAD Z DYREKTOREM LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO im. STEFANA BANACHA W ŻAGANIU p. MIECZYSŁAWEM ŚMIESZKIEM

„Możemy doceniać praktycznie wszystko: pracowitość, tolerancję... Doceniamy je wtedy, kiedy w jakiś sposób one się ujawniają”

Pierwsze pytanie: Czy był Pan uczniem naszej szkoły?

Tak.

Jakie ma Pan najlepsze wspomnienia ze szkołą i jakiego nauczyciela wspomina Pan najlepiej?

Najlepsze wspomnienia związane są zawsze z ekipą klasową. Najwięcej zapamiętujemy z tego, co robiliśmy z naszymi rówieśnikami. Do dzisiaj utrzymujemy dobre kontakty. Niedawno spotkaliśmy się w naszym gronie i powspominaliśmy, poopowiadaliśmy, co się teraz u nas dzieje. Wyrośli marynarze, nauczyciele, lekarz, cały wachlarz zawodów. Na spotkaniu wspominaliśmy, jakie robiliśmy dowcipy, jednak raczej nie będę dawał tutaj instruktażu, jak je robić.

A którego nauczyciela wspomina Pan najlepiej?

Czas, w którym byliśmy w liceum to czas, w którym wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż teraz. W tym momencie jesteśmy obsypywani wieloma nakazami, terminami. Kiedyś jak nauczyciel powiedział, że robi sprawdzian, to był sprawdzian, i nieważne, że był on z trzech lat, nie było dyskusji. Ja nie mówię, że to było dobre, ale tak po prostu wyglądało życie licealisty. Nauczyciele byli wymagający, co skutkowało dobrymi wynikami. Bo przecież my też po to tutaj jesteśmy, żebyście dostali się na wymarzone studia.

Czy czuje się Pan spełniony, pełniąc funkcję dyrektora swojej dawnej szkoły? I czy praca dyrektora to ciężkie zajęcie?

Byłem uczniem, potem nauczycielem… No i po 5 latach zdecydowałem się startować w konkursie i zostałem dyrektorem. Fajnie jest, jeżeli człowiek jest w stanie zmieniać to, co chciałby zmienić. Nie zawsze udaje się wszystko, czego przyczyną jest brak finansów. Jednak uważam, że dobrze się tutaj czujecie, że szkoła jest odpowiednio wyposażona. Kadra nauczycielska, jak widać po wynikach, dobrze przygotowuje was do matury. Daje mi to satysfakcję, jednak jest to związane z dużą ilością ciężkich godzin spędzonych w pracy, ale wydaje mi się, że w każdej pracy jest to nieuniknione. Zdarzają się momenty, kiedy można odsapnąć, ale często jest dużo pracy. Oprócz fizycznego zaangażowania jest potrzebne zaangażowanie psychiczne, dlatego, że wiem, iż każda moja pomyłka może skutkować dużymi problemami. Na przykład wy, przychodząc na maturę, moglibyście wejść nie na ten egzamin, albo nie na ten poziom, na który chcieliście. Chodzi o to, aby unikać problemów, być odpowiedzialnym.

Za co ceni Pan naszą szkołę?

Doceniam to, że w przeróżnego rodzaju ankietach, jakie robię, uczniowie pokazują, że potrafią docenić, jaka atmosfera panuje w szkole. Jeżeli uczniowie mówią, że lubią tutaj przebywać, to jest dobrze. Cieszę się, że zachowana jest tutaj tolerancja wobec niektórych zachowań. Widzę, że udaje się nam współpracować. Ważny jest również samorząd szkolny, zawsze kiedy uczniowie mają problemy, zasiadamy wspólnie i myślimy nad ich rozwiązaniem.

Co Pan ceni w uczniach?

Wiele rzeczy warto cenić. W zależności od okoliczności docenia się pewne cechy, czasami czegoś nie widzimy, ale jednak kiedy coś się dzieje, to dostrzegamy, że w niektórych uczniach przejawiają się cechy, które bardzo nam pomagają, wyjaśniają pewne sprawy. Możemy doceniać praktycznie wszystko: pracowitość, tolerancję. Doceniamy je wtedy, kiedy w jakiś sposób one się ujawniają.

Czy ma Pan jakieś motto życiowe?

To jest takie motto, które często pojawia się w horoskopach, pod moim znakiem zodiaku. Jestem spod znaku koziorożca. To motto to*: „Konsekwentnie do celu”,* oczywiście nie po trupach. Wychodzę z takiego założenia, że można dokonać rzeczy dużych, stosując małe kroki. Przekłada się to na pracę, przez kilka lat byliśmy daleko w rankingach szkół w Polsce, jednak przez kilka lat wiele się zmieniło i małymi krokami dostajemy się coraz wyżej. Wasz sukces to nasz sukces.

Jaka jest Pana ulubiona książka?

W liceum było tak, że jak czytałem jakąś książkę, ona mi się bardzo podobała. Wydawało mi się, że każda z nich jest najfajniejsza. Na maturze wybrałem temat totalnie przekrojowy, czyli lektury od starożytności, do czasów teraźniejszych. Nie był to łatwy temat, moja pani od polskiego powiedziała: „zakopiesz się” w nim. W czasach licealnym lubiłem: „A jak królem, a jak katem będziesz”.

Jaki jest Pana ulubiony film?

Moim ulubionym filmem przez długi czas była produkcja: „Czas apokalipsy”. Duże wrażenie zrobił na mnie też „Avatar 3D”, ale nie jest on moim ulubionym.

Jak „idą” przygotowania do 70-lecia?

Ostatnie 3 tygodnie to spotkania grupy komitetu organizacyjnego. Jest też Komitet Honorowy (profesorzy, doktorzy, pracownicy różnych instytutów). Aktualnie ustalamy różne rzeczy z firmami, które będą odpowiedzialne, na przykład, za wydanie nagrania na DVD, gadżety np.: długopisy. Jest strasznie dużo pracy. Będzie przygotowany pakiet zjazdowicza, w którym będą znajdowały się różne elementy, a w porze wieczornej zostanie zorganizowany bal absolwenta w pałacu, więc pracy jest niewiarygodnie dużo.

Dziękujemy za wywiad.

Z p. Mieczysławem Śmieszkiem rozmawiali: Cyprian Sokołowski, Weronika Andrzejak

HISTORIA GAZETKI SZKOLNEJ

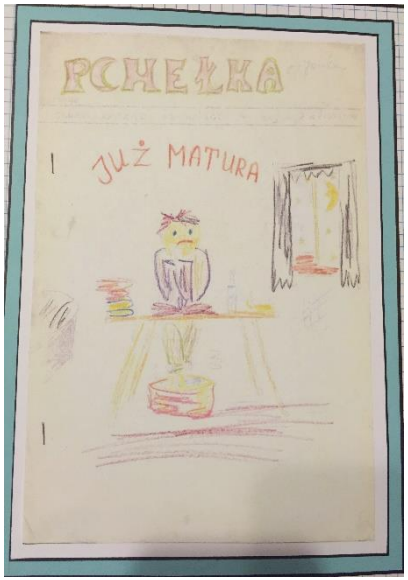

Pierwszą szkolną gazetką, do której udało nam się dotrzeć, jest **„Pchełka”**. Zachowały się jedynie trzy numery datowane na 1974 rok. Gazetka tworzona była na maszynie, a ilustracje robiono ręcznie. **„Pchełka”** to interesujący zapis ówczesnych wydarzeń, które współczesnej młodzieży mogą wydawać się wręcz abstrakcyjne. Na łamach gazetki ukazywały się zadania dla poszczególnych klas oraz informacje dotyczące przebiegu czynów społecznych, w które angażowała się młodzież.
W latach 90-tych powstały aż dwie gazetki szkolne. Pierwszą z nich była Tablica

Kilka lat później, w roku szkolnym 1996-1997 podjęto kolejną próbę stworzenia siły medialnej. Nieregularnie ukazywała się BEZNASWY

Pierwszy numer nowej gazetki szkolnej nosił nazwę „Odpadek” i został w całości stworzony przez Martę Sawicką. Drugi numer nazywał się już *„QQryQ”* i pracowało nad nim kilku szkolnych dziennikarzy. W pomoc zaangażowały się Pani Anna Świeboda oraz Pani Edyta Furtak.

Obecnie gazetkę *„QQryQ”* tworzy kilkunastoosobowy zespół na czele z redaktor naczelną - **Moniką Grzybowską** oraz redaktor techniczną - **Hanną Hodowaną**. Opiekunem niezmiennie jest pani Anna Świeboda. W naszej propozycji uczniowie znaleźć mogą przekrój wielorakich artykułów dotyczących życia szkoły oraz problemów społecznych, wydarzeń kulturalnych czy recenzji. Gazetka ukazuje się co miesiąc, z wyjątkami, jedynie numer styczniowo – lutowy oraz majowo – czerwcowy jest łączony. W pierwszym przypadku dzieje się tak, ponieważ w tych miesiącach wypadają ferie, więc jeden numer musiałby być krótszy i mniej bogaty. O połączeniu ostatniego numeru decydują matury, które w przypadku liceum są najważniejszym wydarzeniem roku.

Niedawno nasz zespół wpadł na całkiem nowy i ciekawy pomysł. Mianowicie planujemy powołać do życia telewizję QQryQ. Debiutancki reportaż, który stworzyliśmy podczas Dnia Otwartych Drzwi można już obejrzeć na stronie LO. Mocno trzymamy kciuki za ten projekt i życzymy sobie, by wszystkim ta propozycja medialna przypadła do gustu.

Fragmenty artykułów:

Centrum Moskwy. Zwykły dzień, mnóstwo zabieganych ludzi, każdy gdzieś idzie, każdy coś robi. A mimo to wszyscy ci ludzie zauważają coś innego, wręcz dziwnego. Na środku ulicy widzą rzeźbę: klepsydrę z małą dziewczynką w środku, która stopniowo zostaje zasypywana piaskiem. Po trzech dniach postać dziecka jest już widoczna tylko częściowo, piasek skutecznie zasłania dziewczynkę. „O co chodzi?", zapewne to pytanie krążyło w głowach przechodniów

Fragment artykułu dotyczącego kampanii „To delay means to kill" (luty 2015)

Zarezerwowałam bilet i dwudziestego trzeciego stycznia byłam w drodze do Szprotawskiego Domu Kultury na kolejny koncert trasy zatytułowanej ZOO. Przeczuwałam, że się nie zawiodę.

Fragment artykułu dotyczącego koncertu Katarzyny Groniec (styczeń 2015)

„Radio Duchów" to niezwykle intrygująca i obfitująca w wiele zaskakujących zwrotów akcji debiutancka powieść meksykańskiego autora Leopolda Gouta. Całość utrzymana jest w stylu radiowej audycji – rozdziały opisujące historię głównego bohatera przeplatane są fragmentami rozmów z nocnego słuchowiska.

Fragment artykułu dotyczącego recenzji „Radia Duchów" (kwiecień 2014)

W związku z rocznicą powołania Komisji Edukacji Narodowej, obchodzoną jako Dzień Nauczyciela, w piątek (11.10.) mogliśmy obejrzeć program artystyczny, przygotowany przez uczniów naszej szkoły.

Fragment artykułu dotyczącego obchodów Dnia Nauczyciela (październik 2013)

Julia Węcławska

Redakcja gazetki "QQryQ" w roku szkolnym 2015/2016

Od lewej:
Hanna Hodowana
Bartosz Płonka
Anna Szwal
Oliwia Miller
Julia Węcławska
Aleksander Wołosiński
Cyprian Sokołowski
Agata Barańska
Paulina Pieczarka
Monika Grzybowska
Oskar Kilanowski
Julia Kozak

Redaktorzy numeru:
Anna Szwal
Cyprian Sokołowski
Monika Grzybowska
Hanna Hodowana
Weronika Andrzejak
Julia Węcławska

Skład gazetki w roku szkolnym 2014/2015